

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Stanisław Piskor

Strategia Kultury

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ZAMIAST WSTĘPU

Nie jest to żadne studium, ani historia od Sumerów po wczorajszy dziennik telewizyjny – to tylko refleksja o strategii kultury polskiej na przełomie wieków.

Chodzi więc zaledwie o dyskusję z monopolem jednego kręgu, z dość wątpliwym punktem widzenia, obliczonym na mniej refleksyjną publiczność i bardziej zakompleksionych uczestników, którym się wydaje, że solidną autorefleksję nad własną kulturą można zastąpić importem efektownych haseł. Natomiast hałaśliwa popularyzacja w znacznym stopniu wykorzystuje Heideggerowskie Się.

S i ę u s t a l i ł o, że mamy właśnie *fin de siècle* i postawiło już potiomkinowską wieś w postaci kilku pojęć – celów ma się rozumieć tak światowych, jak język dzisiejszych nowopolskich kupczyków, choć jakoś dziwnie – na poziomie aksjologicznym – przypominających echa słusznie minionego systemu.

Się określiło wroga, którym jest oczywiście słabo rozumiana polska tożsamość kulturowa, poznawana w szkołach przez podwójne okulary: oświeceniowego „*Monitora*” i znany obiektywizm PRL-owskich podręczników, które nie były pisane w kolizji z kremlowskimi interesami politycznymi.

S i ę p r o p o n u j e nam amerykanizację polskiej kultury, mimo że polityka amerykańska (w tym zakresie) i polska racja stanu akurat potrzebują czegoś przeciwnego – pogłębionego rozumienia własnej specyfiki, nie wspominając już o tym, że czynnik cywilizacyjny ma wy-cinkowe znaczenie w procesach twórczych.

S i ę – jak widać z tej dość czytelnej strategii kultury – chciałoby widzieć Polskę, a może i Europę Środkową nie jako podmiot polityczny oparty na własnej tożsamości kulturowej, ale jako przedmiotowego kastrata śpiewającego według gotowego libretta po spektaklu jednego sezonu.

S i ę – ze swej definicji – nie lubi samodzielnego myślenia, ale kontrolowaną inercję, bo przecież tak się...bo przecież *tak jest jak się państwu wydaje!*

I. WYBÓR STASIUKA CZY MIŁOSZA?

Po latach dominacji *Wyboru Zofii* – czas na wybór Stasiuka. Andrzej Stasiuk został ogłoszony *pisarzem kultowym* tego pokolenia, któremu w tym samym czasie los dał świadomość, a historia – niepodległość ojczyzny. Jest więc wybrańcem losu, przynajmniej reprezentatywną osobą na użytek tych rozważań. Zasadne więc będzie pytanie, jaka jest jego strategia kultury, niekoniecznie świadoma, ale skoro wzbudziła uznanie tego pokolenia – jest strategią przeżywaną. Istotą strategii literackiej tego idola pokolenia jest potrójna dezercja: z wojska, z wielkiego miasta, ze statusu społecznego.

W interpretacji Stasiuka, który stylizuje się na autentystę – dezercja z wojska przypomina camusowskiego bohatera, który zastrzelił Araba „bez powodu”, po prostu przypiekło wtedy słońce, w samo południe; reszta – to doświadczenia egzystencjalne. Pożegnanie z egzystencjalizmem z kolei – w relacji Stasiuka zawartej w reportażu telewizyjnym¹ – jest analogiczne jak zachowanie jednego z bohaterów *Mistrza i Małgorzaty* – Bułhakowa, gdzie do wytarcia nosa służy *ważne* czasopismo – tu zużyta jako papier toaletowy (przez robotników na budowie jego domu) podstawowa książka filozoficzna „*ojca egzystencjalizmu*”. Takich reminiscencji literackich w „*prawdziwym*” życiu Stasiuka jest więcej. Nie jest to zarzut sztucznego autentyzmu, ale potwierdzenie, że jego strategia literacka nie jest prostym odruchem prawdziwka z boru, lecz wyborem strategicznym świadomego pisarza; bardziej świadomego w tej dziedzinie od jego *kultowej* publiczności.

Strategia Stasiuka

Dezercja z wojska (to ponoć chęć doświadczenia egzystencjalnego), ale więzienie jako nieuchronność przecież uświadamiana przez początkującego pisarza – to kapitał złożony na giełdzie ideologii, w tym przypadku pacyfistycznej; zielono-różowej – politycznie; kulturowo-posthipisowskiej; ogólnie biorąc – można założyć – liberalnej. To jest gest pierwszy, który zwraca uwagę na początkującego pisarza przede wszystkim – odwagą osobistego ryzyka.

Drugi gest to wyjazd z Warszawy na „*koniec świata*”, do Czarnego, czy też Wołowca, niegdys dużej wsi – jak opowiada Stasiuk, dziś tylko z kilkoma gospodarstwami. W tle natura, wspaniałe pejzaże godne pędzla Jana Stanisławskiego, zrujnowana synagoga, spalona cerkiew, kościół... Oczywiście ślady wojenne, jak i tuż powojenne. Tło wyzwania Andrzeja Stasiuka – to metonimia Polski, wieloetnicznej, ze śladami zabytków sięgających czasów jagiellońskich. Jak zauważa pisarz – w promieniu 300 km od tego *środku świata* (vide: Eliade!) jest zarówno stolica Polski, jak i Ukraina, Rumunia, Słowacja itd. – słowem ekspozycja środkowej Europy.

Trzeci rodzaj dezercji – to odwrotność mitu awansu społecznego. Pisarz, choć z Warszawy, wspomina swoją rodzinę o chłopskich korzeniach, która pokolenie wcześniej przeniosła się do stolicy, nie bez trudów adaptacji do wielkomiejskiego życia, a tu nagle syn – jak mówi – *wyciął ojcu taki numer* wybierając Czarne. Oczywiście ta „deklasacja” odbywa się na tle oglądania zdjęć (dokumentacji pobytu) w wielu światowych centrach. Inaczej mówiąc ten wybór Czarnego – to nie jest jakaś chłopomańska powtórka, ani ucieczka znerwicowanego inteligenta z wielkomiejskiej ciżby, ale świadomy wybór literacki, np. Dukli jako równoważ-

¹ (Aleksandra Czernecka, TVP –2, 21 luty 2000)

nego *środk*a świata wobec innych tego rodzaju miejsc, włącznie z metropoliami, subiektywnie równoważnych, traktowanych jako mityczne centra.

W tym kontekście Czarne (Dukla) – to nie jest ucieczka na koniec świata w poszukiwaniu świeżości, koloru, barw, zapachów przyrody, choć tu widać szczególną wrażliwość Stasiuka, ale przede wszystkim jest to wskazanie na *środek* świata w nieco innym sensie aniżeli eliadowskim, a mianowicie ze względu na przestrzeń (ów promień 300 km) obejmujący kulturę kilku krajów środkowoeuropejskich. Pisarz – swoim wyborem – dowartościowuje przestrzenny sens pewnego obszaru kulturowego, a ściślej biorąc geokulturowego (powoływanie się na wielokulturową tradycję, czas historyczny), a także współczesne realia tego miejsca. To jest zupełna negacja i postmodernizmu, i mitu globalizacji – to jest świadomy wybór bardzo konkretnej strategii kultury.

Reakcje na wybór Stasiuka

W roli ojca chrzestnego i odkrywcy talentu wystąpił Jerzy Pilch – polskojęzyczny pisarz czeski, zarówno pod względem stylu literackiego, jak i stylu zachowań (od obcinania kuponów od tolerancji religijnej „Tygodnika Powszechnego” – po najemnictwo felietonistyczne, nie tylko w „Polityce”). *Ojciec chrzestny*, ma się rozumieć docenia jakość prawdziwą, ale równocześnie protekcyjnie punktuje braki, wiadomo – proporcje powinny być zachowane. Stasiuk jest wielki, ale przy tych brakach samoświadomości literackiej – wielkość *ojca chrzestnego* jest odpowiednio powiększona. Niezły felieton autokreacyjny.

Rówieśnicy „z bruLionu” są wyraźnie zdezorientowani wyborem Stasiuka, zwyczajnie nie wiedzą co o tym sądzić; niby nasz, a taki dziwny... Tekieli – inicjator promocji Stasiuka – nie ma zdania. Świetlicki jako czołowy poeta tego pokolenia, stawiający na postmodernistyczną strategię bezpośredniego kontaktu z kulturą masową (zespół *Świetliki*) – ostentacyjnie dystansuje się wobec tego najmodniejszego i pokoleniowego... i z rozbijającą szczerością wyznaje, że ta kariera Stasiuka nie może się udać.

Skąd ten rozdźwięk, źle maskowana niechęć?

Zgodnie z historycznym schematem (o rzekomej powtórcie roku 1918) *bruLionowcy* odtańczyli *Sokratesa tańczącego* – ma się rozumieć ze stosownym wzbogaceniem figur przez pilnie nabytą świadomość wielu kierunków późniejszych, począwszy od dadaizmu czy futuryzmu na postmodernizmie kończąc, ale niespodziewanie euforia młodości minęła. Po dziesięciu latach został tylko kurz na podłodze i ten Stasiuk, który ostentacyjnie dystansuje się wobec tak dobrze promowanej formacji. O co mu chodzi? To musi irytować. I są widoczne skutki tej irytacji.

Pierwsze książki Stasiuka opromienione jeszcze biografią autora-pacyfisty były przyjmowane entuzjastycznie – teraz coraz mniej przychylnie. Czy nabierając doświadczenia literackiego – Stasiuk pisze coraz gorzej? Czy też opinie pokoleniowej krytyki to skutek dystansu *pisarza kultowego* wobec scenariusza obliczonego na kult właściwy zapotrzebowaniom dysponentów urabiania *jedynie słusznych poglądów* np. *Fundacji Batorego*? Ma się rozumieć liberalnych i pluralistycznych, na tyle – rzecz jasna – na ile ten pluralizm jest zgodny z poglądami dysponentów łamów gazety np. „Gazety Wyborczej”, dostępu do stypendiów i grantów wydawniczych. Co tak irytuje? Sama dezercja pisarza, czy też może wybór innych wartości?

Wybór Stasiuka sumuje się wyraźnie w przeżywaną treść dwu pojęć: wolności i solidarności. Proste? Zbyt proste, bo przecież miało być postmodernistycznie skomplikowane, a nie proste w taki sposób. Nie należało dotyczyć bolącej rzeczywistości, np. wsi zabitej deskami, z jej socjalnym upośledzeniem, a tylko bawić się w postmodernizm literackimi konwencjami. Tu dla was przygotowano rezerwat – młodzi Indianie, nie tylko z „bruLionu”. Przecież nie po to wyciągnięto z szuflady wypróbowaną metodę upupiania – socparnasizm z poprzedniego systemu (który ma się rozumieć został werbalnie potępiony, ale nie do tego stopnia, żeby z

jego socjotechnicznego dorobku nie korzystać po stosownej podmianie *eksperymentu* na postmodernizm) – żebyście, młodzi zdolni i ekspansywni Indianie nie mogli korzystać ze skarbnicy dyskretnie podsuwanych doświadczeń. Dziś przecież możecie postmodernizować do woli, byleby nie dotykać tematów nieciekawych, „ksenofobicznych”, polskich, jak np. prywatyzacji, czy tej odrażającej nędzy przedmieść i wsi – po co wam to? Czyż nie po wyłamywaliśmy *żelazną kurtynę* żebyście mogli się wreszcie czuć jak we własnym Nowym Jorku! Po co wam ta sarmacka, polska prowincja, na którą wskazuje swoim wyborem Stasiuk, który swoją wolność ulokował w przyrodzie, w przestrzeni geokulturowej, w elementarnym doświadczeniu solidarności z prostymi ludźmi, zwracając uwagę na to miejsce, które przecież w drodze transformacji chcieliśmy jak najskuteczniej ominąć. Wiadomo, że chłop po to ma silne bary żeby dźwigał co mu hitleryzm włożył na plecy (kontyngenty), potem komunizm (obowiązkowe dostawy), dlaczego teraz nie miałyby tego robić? Więcej – nasza wspaniałomyślność jest tak wielka, że nie chcemy, aby cokolwiek robił – niech leży pod gruszą i nic nie robi. My zaimportujemy wszystko czego dusza zapagnie, ma się rozumieć nie dla jakichś tam własnych korzyści, *ale pro publice bono*: Musimy za pomocą *niewidzialnej ręki rynku* stworzyć klasę średnią! Czyż mielibyśmy sobie wyjmować *mercedesy* spod siedzenia dla pustej retoryki solidarności? To dobre na wiecach albo na spotkaniach z papieżem, ale żeby tak od razu przekładać to na system prawno-ekonomiczny?

Ten pisarz – jak widać – wyraźnie nie zna się na żartach historii i na serio bierze takie słowa, jak wolność i solidarność.

Taka niesubordynacja nie może ująć na sucho. Nasi krytycznoliteraccy dżokeje – jego dawni admiratorzy – już to pojmują, bo bystre chłopaki i w lot wyczuwają intencje. Już pierwszy dżokej literackiej stajni „Gazety Wyborczej” – krytyk Cichy ...i dyskretny sekretarz nagrody *Nike* komentuje z ledwie skrywanymi złośliwościami wybór Stasiuka; inny dżokej – Varga – „nie rozumie” itd. A jeszcze nie użyto ostatecznej broni, ledwie zasygnalizowanej przez Pilcha, mianowicie gęby niedouczzonego amatora, choć –jak na wstępie sygnalizowałem – widać ślady niemałego odczytania Stasiuka i zręcznego wykorzystania tego – być może nieformalnego wykształcenia. Dla dyplomowanych literatów: nic to – gdzie papiery na literackość?. To pytanie jeszcze czeka pisarza z Czarnego, jako prezent od kolegów, którzy reagują tym bardziej nerwowo, im wyraźniej widać ich najemnictwo opiniotwórcze. A dezercja Stasiuka z pewnością nie będzie ostatnia, im bardziej będzie widać sprzeczność pomiędzy socjotechniką, a rzeczywistością doświadczenia społecznego. Takich dezercerów może być więcej. Niebezpieczny precedens!

W grudniu 1999 roku, w Paryżu na konferencji poświęconej paryskiej „Kulturze”, jednej z najważniejszych instytucji polskiego życia umysłowego, we francuskim Instytucie Spraw Międzynarodowych, wygłosił odczyt wybitny poeta i eseista, polski noblista – Czesław Miłosz.

„Kultura” jako instytucja projektująca zachowania polityczne i strategię kulturalnego ruchu oporu w okresie PRL-u, a także autorytet Czesława Miłosza, którego fragment wiersza stał się pomnikowym napisem nie tylko poległych stoczniovców, ale i zwycięskiego finału dążeń niepodległościowych – tworzyły razem, zwłaszcza na paryskim, nie tyle bruku, ile w Instytucie Spraw Międzynarodowych – obraz godny miana symbolu.

Paryski odczyt Czesława Miłosza dotyczył fundamentalnego problemu polskiego życia kulturalnego na początku nowego rozdziału dziejącej się właśnie historii, tj. po powrocie Polski do kręgu krajów Zachodu (wstąpienie Polski do NATO), ale też – z drugiej strony – na tle różnorodnych instrumentalnych – mitologizacji *końca wieku*.

Te właśnie istotne okoliczności, a także powaga podjętego problemu w połączeniu z autorytetem poety – to sytuacja istotna, wobec której nie można przejść obojętnie, tym bardziej że esej Miłosza jest projektem nowej strategii kultury polskiej na wiek XXI. Od trafności lub dyskuszyności tej propozycji może wiele zależeć.

Należy przypomnieć znaną prawdę. Europa sięgająca aż do Uralu jest jedynie abstrakcją. W rzeczywistości linia pionowa przebiegająca przez jej środek dzieliła ją od wieków na Europę lepszą i gorszą. Ta druga czerpała z tej pierwszej wzory kulturalne, style i mody, naśladując je, przerabiając je i nadając im własne piętno. Tak było z w architekturze z gotykiem, renesansem i barokiem, w literaturze z klasycyzmem i formą powieści. (...)

Ruch idei z zachodu na wschód łączy się z problemem naśladownictwa. W pewnym sensie cała kultura europejska pochodzi z zapożyczeń i naśladownictwa, wywodząc się z antyku. „Gorszości” wschodniej części Europy nie można dowieść, powołując się na jej zależność od importowanych wzorów... (...) Dzisiaj o całkowicie nowej sytuacji przesądza wspólny język, następca łaciny i francuskiego, angielski jako „lingua franca” Europy oraz film i telewizja. (...) Pomiędzy kulturą wysoką i kulturą masową zachodzą liczne związki, jedna działa na drugą albo bezpośrednio, albo drogą osmozy. Wpływy amerykańskie są więc wszechstronne i nie na wiele przyda się nie przyjmowanie ich do wiadomości. (...) I jednak musimy uznać, że prorokiem naszych czasów stał się taki asymilator, Dostojewski, i że takiej asymilacji zawdzięczają swoją wielkość dwaj poeci krajów słowiańskich, Mickiewicz i Puszkina. Spotykając nowe wyzwanie, Ameryki i języka angielskiego, trzeba wierzyć, że podobne twórcze przekształcenie form tematów jest możliwe, (za: „Gazeta Wyborcza”, 24–26 XII 1999)

Na początek – wyodrębnijmy kwestie bezdyskusyjne. Po pierwsze koncepcja Europy po Ural – jest oczywiście abstraktem politycznym; podział przez środek Europy istnieje, ale tylko ta część zdania nie jest kontrowersyjna, natomiast kwestia *gorszości* lub *lepszości* – to osobny problem do dyskusji i wreszcie po trzecie – zagadnienie wpływu mediów elektronicznych na kulturę. Problem osmozy kultury masowej i kultury wysokiej – to teza, którą ćwierć wieku temu postawiliśmy w *Sporze o poezję* i miło że wspiera ją dziś autorytet noblisty, jak również i to, że młodzież postmodernistyczna przyjęła to za własne, pokoleniowe odkrycie (bez przypisów zresztą).

Kontrowersyjność pozostałych też zawartych w odczycie Czesława Miłosza – na ogół nie pojawia się na poziomie ogólnym, np. w kwestii podziału Europy lub wspólnej tradycji antycznej. Problemy pojawiają się na poziomie egzemplifikacji. Kilka nazwisk konkretnych pisarzy, lub sądy ogólne o procesach artystycznych nie wystarczą do sformułowania w miarę uzasadnionych konkluzji. Wówczas następuje zasadnicza rozbieżność. Dla przykładu: wpływ antyku na kulturę europejską – Najogólniej tak. Jeśli jednak zauważymy, że zachodnia część cesarstwa rzymskiego uległa całkowitej barbaryzacji pod wpływem najazdu plemion germańskich, a jedynie Bizancjum zakonserwowało dorobek antyku i zwróciło go w innych warunkach Zachodowi w epoce renesansu, poprzez miasta włoskie (Florencję, Wenecję itd.), a w innych warunkach historycznych – *Trzeciemu Rzymowi* (Moskwie), to wówczas mówiąc o tym samym (antyku), w istocie mówimy o dwu różnych zjawiskach. I jeśli – słusznie – Czesław Miłosz twierdzi, że idea Europy po Ural jest tylko politycznym abstraktem, właśnie z powodu tak dalekiego zróżnicowania tej samej antycznej tradycji, oczywiście zróżnicowanej poprzez kolejne historyczne doświadczenia: inne na Zachodzie, inne na Wschodzie. I to trzeba nieco dokładniej prześledzić (szczegóły – w dalszej części).

Drugą kontrowersję wzbudza przyjęte milcząco założenie przez Czesława Miłosza o naśladownictwie centrum przez peryferie. Jest to powtórzenie koncepcji Stanisława Smółki sprzed stu lat; pisał on, że dzieje Polski *popłynęły tym samym korytem, którym posuwał się naprzód ogólny tok dziejów Zachodu (Mieszko Stary i jego wiek, wyd. 1881, s. 408-409)*. Tę ideę Miłosz przenosi we współczesne realia. Skoro dziś cywilizacyjny rytm przemian Zachodu wyznacza Ameryka – to znaczy, że powinniśmy zastosować się do tych realiów współczesnego Zachodu i *popłynąć tym samym korytem*.

Krzysztof Zanussi w filmie *Dotknięcie ręki* zasugerował parę lat temu, że kultura Zachodu traci swoją żywotność, mierzona zwykle powstawaniem ważnych, nowych dzieł sztuki. Dopyływ nowych soków witalnych należy upatrywać właśnie w Europie Środkowej. Podobnie jak

w przypadku tezy Miłosza nawiązującego do poglądów Smółki – jest to również odkrycie z końca XIX wieku, mianowicie koncepcji historiozoficznej Antoniego Wasilewskiego (*Filozofia dziejów polskich i metoda ich badania*, Kraków, 1875), który przyjmował koncepcję w kategoriach swoście rozumianego biologizmu: cywilizacje „stare” zrjonalizowane, zdominowane ideą postępu, powoli tracą wiarę, i witalność zmierzając do katastrofy. Wtedy właśnie pojawia się szczególna rola młodszych cywilizacji (monarchii), które mają do wniesienia witalność w zamian za pozyskanie doświadczeń cywilizacyjnych (oświaty). Ta metafora historiozoficzna traci anachronizmem, ale jej sens jest dziś godny rozważenia, choćby dlatego że intelektualny wyraz „młodszości” narodów środkowoeuropejskich uogólniony np. w piarstwie Kundery, filozofii Kołakowskiego, publicystyce paryskiej „Kultury” i wielu innych twórców okazały się trafniejsze w ostatecznym rozrachunku dla określenia epoki doświadczeń totalitarnych, od naiwności nie tylko francuskich intelektualistów z połowy XX wieku, tak łatwo wykorzystywanych do propagowania systemu, który – jak dziś już wiadomo – okazał się tylko zbrodniczą utopią. Wydaje się, że sprawa nie kończy się na rozrachunkach.

II. ODKRYWANIE AMERYKI NAD WISŁĄ

Propozycja strategii kultury Miłozsa i – zapewne intuicyjna – decyzja Stasiuka to nie tylko skrót myślowy, lecz także rzeczywista alternatywa. I wcale ta alternatywa nie sprowadza się do prostych antynomii: kosmopolityzm – ksenofobia; europejskość (amerykańskość) – polskość. Kultura polska potrafi być także i uniwersalna, by wymienić pierwsze z brzegu przykłady Grotowskiego, Kantora, Pendereckiego, Nowosielskiego i wielu innych wybitnych twórców – wychodzących z własnych doświadczeń geokulturowych. Są na to dowody innego rodzaju: po Październiku napłynęła do Polski, w krótkim czasie, wielka fala publikacji powstrzymywanych *żelazną kurtyną*. Wydrukowano wówczas wiele brakujących nowości z literatury, sztuki, filozofii itd. A po roku 1989 – co wpłynęło nowego, czego uprzednio w Polsce nie znano? Nic, poza śmieciem literatury wagonowej i kompensacyjnej.

To jest właśnie dowód pośredni na to, że postulat amerykanizacji kultury polskiej jest skierowany w pustkę. Jeśli miałby to być świadomy i autonomiczny wybór – to już w Polsce wybrano, co było do wybrania z doświadczeń światowych. Chyba że chodzi o zaplanowaną akcję prania mózgow... A może tylko o inercyjny odruch warunkowy wiązania przełomów politycznych z przełomami w kulturze, według modelu poststalinowskiego? Warto zdać sobie sprawę z faktu, że taka konstrukcja ma zastosowanie tylko do warunków niewoli, gdzie *odkręcanie śruby* miało związek przyczynowy z jakością życia kulturalnego, ale w wolnym kraju? Nie mówiąc już o drugiej konsekwencji, tej mianowicie, że wiązanie kultury z polityką na takiej zasadzie odbiera jej zdolność samosterowności, a nawet zdolność projektowania wizji przyszłości. Tego, co młody Czesław Miłosz określał twierdzeniem, że to właśnie *artysta kieruje hodowlą ludzi*, a co później kontrkultura określała mianem *busoli społecznej nawigacji*.

Nawoływanie do *twórczej adaptacji* w kulturze polskiej amerykańskich wpływów cywilizacyjnych jest nieporozumieniem, z punktu widzenia realiów i zwyczajnym błędem teoretycznym, bo cywilizacja ma umiarkowane i bardzo pośrednie wpływy na rzeczywistość kultury, co starałem się wykazać w trybie teoretycznym (*Transfiguracja*). Jeśli w tym przypadku możemy się spierać o jakość wywodu czy typ doktryny – to nie ma sporu tam, gdzie Czesław Miłosz popełnia podstawowy błąd mechanicznego przeniesienia argumentacji ze sfery cywilizacji, do rzeczywistości kultury np. kiedy twierdzi, że: *Ruch idei z zachodu na wschód łączy się z problemem naśladownictwa. W pewnym sensie cała kultura europejska pochodzi z zapożyczeń i naśladownictwa, wywodząc się z antyku. «Gorszości» wschodniej części Europy nie można dowieść, powołując się na jej zależność od importowanych wzorów, podobnie jak nie można uznać japońskich samochodów za gorsze dlatego tylko, że nowoczesna technika przywędrowała do Japonii z zewnątrz.*

Pomijając nieporozumienie o zastosowaniu przykładu z dziedziny cywilizacyjnej do opisu kultury – zastanówmy się czy rzeczywiście jest to prawda – w szczegółach i w czasie historycznym.

Nikt nie kwestionuje antycznych korzeni, ani inspiracji, ale w Polsce prawdziwość tej tezy kończy się na epoce dojrzałego renesansu. Wtedy doszło do pełnej recepcji wzorów antycznych. I na tym koniec naśladownictwa, rozumianego jako proces twórczy, a nie stawianie doryckich kolumn w prowincjonalnych dworach. Już następna epoka – baroku – niewiele miała wspólnego z antykiem, dostosowując ogólne inspiracje do bieżących potrzeb, np. forma kościoła barokowego (wzorzec – Il. Gesu, nb. upowszechniona w Polsce natychmiast, jak na ówczesne warunki) z jej dostosowaniem do potrzeb praktyki kontrreformacyjnej, czy założenia urbanistyczne bliskie formie centralistycznych rządów, itd. I tak będzie stale, choć po-

wroty do klasycyzmu będą się pojawiać, ale raczej pod wpływem zupełnie innych czynników, aniżeli proste naśladownictwo antyku. To na Zachodzie.

A co na Wschodzie? Gdzie tam mamy naśladownictwo antyku w epoce renesansu? Czy w ogóle dotarły tam jakieś istotniejsze wpływy np. w postaci prawa rzymskiego, czy później – umowy społecznej? Tam powstała zupełnie inna kultura, inna cywilizacja, choć przecież jej źródłem był ten sam antyk, więcej: antyk w formie zakonserwowanej przez Bizancjum, a nie odgrzebywanej z gruzów, jak to miało miejsce w Rzymie.

To są bezpośrednie dowody na kruchość tej tezy, jeśli ją pojmować dosłownie.

I druga wątpliwość: jeśli naśladownictwu nadajemy status normy estetycznej – to jest to pomysł co najmniej dziwny, bo od czasu romantyzmu do wczoraj nie kwestionowano tezy o oryginalności, nawet jeśli usiłowano podważyć jej skuteczność w praktyce artystycznej II połowy XX wieku. Jednak podważając skuteczność – dalej respektowano jej podstawowe założenie, bo gdyby tak nie było, nie byłoby zmian stylistycznych w sztuce mijającego stulecia. A przecież było przeciwnie: style i kierunki zmieniały się co kilkanaście lat. Oznacza to potwierdzenie w praktyce twórczej żywotności estetycznej tezy o oryginalności.

Równie mało przekonujące są i inne argumenty Czesława Miłosza, kiedy np. twierdzi, że: *Kultura masowa jest zwycięstwem Ameryki, która ją wynalazła, przegraną Rosji, która starała się, w imię ideologicznych założeń, zbudować tamę przeciwko inwazji zachodnich filmów i zachodniej muzyki.*

Ameryka wynalazła biznes, a kultura masowa była jednym z lepiej sprzedających się towarów, przy proporcjonalnie mniejszym znaczeniu rynkowym publiczności kulturalnej, która nie potrafiła stworzyć zapotrzebowania na równoległy rynek kultury wysokiej. Jest to zrozumiałe z punktu widzenia przekroju społecznego tego kraju, gdzie na najwyższym poziomie istnieje wąska grupa elity, a szerokie kręgi społeczeństwa o zróżnicowanych korzeniach etnicznych nie potrafią zdefiniować swoich aspiracji wobec kultury wysokiej, w stopniu porównywalnym do Europy. W rezultacie tej specyfiki skutkiem kulturalnym jest co najwyżej dobra rozrywka, a nie silna presja na rzecz wytworzenia odpowiednio licznej oferty wyższego rzędu. Stąd ta mocarstwowość Ameryki w dziedzinie kultury masowej. Można ją uznać za fenomen socjokulturowy, ale nie wzorzec.

Ameryka po II wojnie światowej stała się poważnym ośrodkiem kulturotwórczym z powodu Hitlera, którego obłąkańcza ideologia wypędziła z zagrożonej Europy wielu wybitnych artystów pochodzenia żydowskiego i nie tylko, także i tych, którzy zwyczajnie cenili sobie wolność. To oni zasiali ziarna istotnej sztuki, co potem zrobiło wrażenie na kulturze europejskiej. Większe znaczenie dla prestiżu Ameryki miała grupka artystów ze *szkoły Pacyfiku*, czy pracowni Andy Warhola (nb. pochodzącego z rodziny słowackich imigrantów) aniżeli cała produkcja Hollywood.

A Rosja przegrała nie z powodu braku muzyki i amerykańskiej kultury masowej, lecz z powodu ideologicznej ortodoksji wprowadzanej w życie, oraz imperialnych ambicji nieproporcjonalnych do możliwości. I rozpadła się, kiedy ambicja sprostania wyzwaniu militarnemu Ameryki (wyścig zbrojeń), przy słabości gospodarczej wynikającej ze wspomnianych założeń ideologicznych – przesłoniła poczucie rzeczywistości jej władców.

Ameryka – mimo swej potęgi cywilizacyjnej nie jest stolicą świata kulturalnego w takim stopniu jak niegdyś był nią Paryż, choć Nowy Jork z pewnością jest jednym z ważniejszych ośrodków. Już dziś mamy lotne stolice kulturalne, a jutro pewnie deglomeracja jeszcze się pogłębi przez zwiększanie wpływu nowych środków przekazu, np. internetu, który kiedyś ze zwykłego śmietnika informacyjnego stanie się sprawnym narzędziem, także i dla życia kulturalnego w skali globalnej.

Miłoszowska propozycja strategii kultury inspirowanej amerykańskim fenomenem cywilizacyjnym padła w najmniej odpowiednim czasie, mianowicie teraz, kiedy pojawiło się rze-

czywiste zainteresowanie specyfiką tożsamości kulturowej Europy Środkowej. Także i w Ameryce. I to niekoniernie z powodów wyłącznie poznawczych.

Świat polityki uświadomił sobie, że bez uwzględnienia podstaw kulturowych nie można liczyć na osiągnięcie założonych dalekosiężnych celów. Taka teza nie była specjalnie odkrywczą. Jej wartość doceniono dopiero po stracie sporych sum dolarów wyrzuconych nie tyle w błoto, ile na prywatne konta mało przykładnych – na ogół – postaci konkurencyjnego, byłego mocarstwa. Wtedy lekcja kulturowych uwarunkowań polityki nabrała wartości.

Po euforii pierestrojki usiłowano implantować Rosji demokrację w stylu zachodnim, bez uwzględnienia jej specyfiki kulturowej. Pod koniec tej dekady próba okazała się kosztownym fiaskiem obliczanym na 250 mld dolarów. Nawet jeśli odliczy się opłaty za zjednoczenie Niemiec, wycofanie wojsk rosyjskich z podporządkowanych krajów środkowoeuropejskich (w konsekwencji umowy jałtańskiej), czy cenę strachu przed niekontrolowanym wybuchem społecznym lub rdzewiejących rakiet z ładunkami nuklearnymi – pozostałe koszty należałoby wpisać na konto podatku od własnej arogancji wobec determinant kulturowych polityki.

Świat polityki podszytej biznesem potrafi liczyć i tych samych błędów na ogół dwa razy nie powtarza. Stąd rosnące uznanie i popularność doktryny o kulturowym determinizmie polityki.

W czasie tych doświadczeń Polska wychodziła spod dominacji imperium sowieckiego, zmierzając w stronę struktur zachodnich z poważnym zapóźnieniem cywilizacyjnym, ale bez większych strat w dziedzinie kultury. Po dziesięciu latach wchodząc do sojuszu militarnego NATO stała się rubieżą Zachodu. Pomiedzy Rosją a tą rubieżą pozostało kilka państw o pośredniej tożsamości kulturowej historycznie określonej interferencjami kultury łacińskiej i bizantyjskiej. Spróbujmy przypomnieć sobie co to znaczy w nieco głębszym sensie, jeśli powagę dzisiejszego wyboru nie chcemy rozmiąć na frazesy kulturalne; a szansę zyskania odpowiedniego miejsca w Europie – na nową mutację „obrotowego przedmurza”.

Spotkanie dwu cywilizacji

Za panowania ostatnich Jagiellonów ustaliła się taka praktyka polityczna, że do tronu na Wawelu droga wiodła poprzez Wilno. Kazimierz Jagiellończyk, Aleksander, Zygmunt Stary i Zygmunt August zanim zostali władcami na Wawelu byli wcześniej władcami na Litwie. Już za Zygmunta I było to działanie świadome rady panów litewskich i dobrze zdawano sobie sprawę w Koronie, że Litwa posługuje się polityką faktów dokonanych w wyborze króla.

Ten precedens miał swoje poważne konsekwencje dla państwa nie tylko z powodów personalnych. Dzieje Litwy to historia dominujących wpływów kolejnych rodów rządzących autokratycznie, nie wyłączając okrucieństw w metodach sprawowania władzy. Po Gasztołdach rządili Radziwiłłowie, potem pojawili się na świeczniku Pacowie, czy Sapiechowie. Te potężne rody magnackie miały wpływ nie tylko na obieranie władców litewskich, ale na mocy wspomnianego mechanizmu faktów dokonanych także – pośrednio – i na Koronę.

Arystokraci litewscy np. Radziwiłłowie nie różnili się pod względem kulturalnym od arystokracji zachodnioeuropejskiej, ale zasadniczo inna była ich – wspomniana już metoda sprawowania władzy. Inne były też ambicje polityczne zwłaszcza za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta. Mikołaj Sieniawski np. wtargnął do Mołdawii i w Suczawie osadził Aleksandra Lapusneanu, co mogło być jawną prowokacją wobec sułtana. Podobny sens miały liczne wypadki np. Dymitra Wiśniowieckiego, czy liczne kontakty z Habsburgami prowadzone przez Mikołaja Radziwiłła Czarnego wokół małżeństwa Zygmunta Augusta.

Zaczynają się pojawiać poważne rozbieżności i szczególnego rodzaju „niekonsekwencje”. A więc z jednej strony wielkopański gest i kosmopolityczny udział w kulturze, ale z drugiej bizantyjska hierarchiczność w sposobie rozumienia form społecznego istnienia (dominacja

form feudalnych), ścisła podległość warstw plebejskich, niemożność rozwoju rzemiosła, a później przemysłu na wielką skalę, nawet przy bardzo dużych możliwościach finansowych.

Zagrożenie Litwy ze wschodu oraz prywatne poddaństwo szlachty litewskiej wobec możnych (sądownictwo) – to główne czynniki dążenia przede wszystkim szlachty do unii Litwy z Koroną. Ta unia była dość ambiwalentnym faktem historycznym, zwłaszcza dla politycznych interesów Korony. Jak pisze lapidarnie Paweł Jasienica w swoim eseju historycznym: „Dawny arystokrata koronny nie tak już druzgocąco przeważał nad ziemianinem typu Reja. Nad bracią szlachecką z całego województwa przewagi nie miał. W niedalekiej przyszłości miało się to odmienić, a społeczna treść pojęcia „Korona” upodobnić do stosunków panujących w Wielkim Księstwie Litewskim, gdzie poszczególne rody tyranizowały kraj.”²

Unia Lubelska dała historyczną szansę nie tylko magnatom rdzennie polskim, ruscy, dobrowolnie spolszczeni też porobili zawrotne kariery i również ciężko zawazyli na losach wzajemnych stosunków Polski i Ukrainy”.³

W tym momencie konieczne jest sprecyzowanie punktów wyjścia tradycji rodowo-autokratycznej na Litwie.

Przypomnijmy kilka faktów, a także wątków politycznych i kulturowych.

Jeszcze za czasów Giedymina, po przeniesieniu stolicy z Trok do Wilna wpływy ruskie na Litwie były na tyle silne, że język ruski stał się językiem urzędowym. Co to oznacza w konkretnej sytuacji, że w księstwie mającym silną władzę wprowadza się język urzędowy państwa podległego wpływom tatarskim, a więc o ograniczonej ekspansji? Tylko do pewnego stopnia mogą to tłumaczyć względy religijne. Oznacza to po prostu, że kultura bizantyjska i nasilenie nosicieli tej kultury, czyli żywiołu ruskiego, było na tyle intensywne na Litwie, że język ten stał się urzędowym. Niczego to nie rozstrzyga w sensie politycznym, ale wiele mówi o wpływach kulturowych.

W trójkącie konfiguracji litewsko-rusko-tatarskich dochodziło do przelotnych sojuszy pomiędzy Litwinami i Tatarami. Takie sojusze zawierali książęta litewscy np. Jagiełło zanim został królem, był sojusznikiem Mamaja i tylko dlatego, że spóźnił się (przypadkiem, czy celowo?) nie wziął udziału w bitwie na Kubkowym Polu. Wojska Witolda rozbite pod Worskłą przez oddziały Timur Kuluka miały również posiłki wysłane przez Tochtamysza. Znane są również kontakty Aleksandra Jagiellończyka z synem Achmata – chana Złotej Ordy.

Fakty te, nie wchodząc w ich znaczenie polityczne – świadczą o jednym: pomiędzy Litwinami a żywiołem ruskim – z jednej strony oraz Tatarami istniały związki, na tyle ścisłe, że pewne wzory sprawowania władzy a także rodzaj zależności pomiędzy książętami ruskimi a chanem musiały być doskonale znane.

Kultura polityczna Rusi pod panowaniem tatarskim z nałożoną kulturą dworską bizantynizmu – oto wyznaczniki bezpośredniego sąsiedztwa Litwy z jednej strony. Z drugiej rzeczywistość rozkwitającego renesansu w Koronie.

Nie problem Rusi jest tu najważniejszy, lecz kwestia dwu wartości okcydentalizmu i bizantynizmu, które w szczególny sposób nałożyły się już w stylu rządów Zygmunta Augusta. Proste skojarzenia rodzinne włoskiego renesansu (królowej Bony) i litewskiego wpływu (Zygmunta Starego) nie mają tu większego znaczenia (choć z pewnością trudno je byłoby teoretycznie odrzucić).

² Por. np. głośny konflikt w tzw. Sprawie goniądzkiej z roku 1521, gdzie zderzyły się wyobrażenia o swobodach politycznych szlachty podlaskiej, przeważnie polskiego pochodzenia z litewskim autokratyzmem Radziwiłłów. Konflikt ten dowodzi, że problem odmienności w stylu sprawowania władzy nie był tylko kwestią teoretyczną, lecz miał praktycznie stosowany wymiar.

³ P. Jasienica, *Polska Jagiellonów*, Warszawa, 1975, t. II, s. 219; oraz: A. Sucheni-Grabowska, *Walka o demokrację szlachecką*, op. cit., s. 23: – pisze: „Oddziaływał również na Zygmunta Augusta wpływ litewskiego modelu ustrojowego, stanowiącego kontrast Rzeczypospolitej szlacheckiej, która tak krepowała swych władców. Rządziło tu małe grono oligarchów skupiających w swych rękach po kilka najwyższych urzędów i ogromne kompleksy dóbr wielkopsiących”.

W pierwszym względzie kwestia może niezbyt poważna, ale o poważnych skutkach – małżeństwo Zygmunta Augusta z Barbarą Radziwiłłówną. Król (w duchu renesansowego mniemania o ważności jednostki ludzkiej, o prawie do osobistego szczęścia itd.) rzucił wyzwanie ogółowi i przeforsował sprawę swego małżeństwa. Tu okazał się człowiekiem renesansu – właśnie jako człowiek, ale jako władca – coraz bardziej wchodził w litewski sposób stylu rządzenia, we wspomniane tradycje litewskiego autokratyzmu.

Balansując pomiędzy obozem egzekucyjnym a senatem, królewski problem ujawnił się w zasadach unii lubelskiej. „Litwa posiadała bowiem istotny dorobek w zakresie kodyfikacyjnym; statuty litewskie (pierwsze – 1522, drugie – 1566, trzecie – 1588), na których odbiły się wpływy prawa polskiego i za jego pośrednictwem rzymskiego. Ustawodawstwo egzekucyjne nie objęło Litwy, której dlatego nie obowiązywała tzw. Kwarta. Był to kompromis na rzecz magnatów dzierżących domenę gospodarską”(...) ⁴

Podobny sens miał spór o sądownictwo apelacyjne pomiędzy Mikołajem Sienickim a Janem Sierakowskim, czy problem wyłomu z obozu reformy właśnie szlachty z województw wschodnich: bełskiego, ruskiego i podolskiego, pod przywództwem Walentego Orzechowskiego – brata stryjecznego Stanisława.

Takich przykładów, wskazujących na wpływy wschodniej mentalności wobec programu egzekucyjnego można znaleźć więcej – co z czasem sumuje się w zasadniczy problem polityczny. Ale, jak pisze słusznie Gierowski ten aspekt stosunków: oddziaływania wschodu na zachód w Polsce XVI-wiecznej nie jest jeszcze zbadany.

Mimo to, przynajmniej dwa ogólnie znane i oczywiste fakty są nie do zakwestionowania: stosunki polityczno-religijne na sąsiadującej z Litwą – Rusi, które przecież nie mogły nie wywierać wpływu na sposób myślenia Litwinów.

Przypomnienie stosunków panujących pod niewolą tatarską na Rusi, kontakty bezpośrednie z żywiołem ruskim, jak i pomiędzy książętami litewskimi a Tatarami – uświadamiają, że autokratyzm litewski miał wiele wzorów.

Druga kwestia: religijna. Metropolia moskiewska uzyskuje w XV wieku status autokefalii, natomiast pozostałe kościoły – najlepiej „konserwujące” wpływy bizantyzmu i pozostające pod wpływem patriarchy bizantyjskiego, znajdujące się pod uprzednim wpływem Kijowa – (nowogródzka, włodzimierska, halicka) przechodzą pod wpływ Litwy, a w XVI wieku weszły w skład królestwa polskiego.

Kwestia wpływów litewskich na Koronę, po unii lubelskiej była nie tylko wymierna w sferze idei, ale również i realnych wpływów np. natury majątkowej, choć oczywiście najważniejsza była sfera mentalności.

Styl myślenia litewskiego natrafił w Koronie na szczególną sytuację. Ruch egzekucyjny i liczne rzesze szlachty zamiast walki o zmianę sytuacji w konkretnym miejscu, (poza innymi przyczynami), miały także alternatywę przestrzenną: zamiast walczyć – wyjazd na wschód, na rozległe rubieże. Zmniejszenie napięcia społecznego (według M. Małowista: w Koronie, ok. 1350 roku żyło 6–7 osób/km²; na Litwie: 5) odnosiło się zarówno do szlachty, jak i chłopów. Od schyłku XVI wieku gwałtownie zmniejszyła się migracja chłopów do miast (ale istniała możliwość ucieczki na wschód na ziemie Rusi i Ukrainy). Moźni zasiedlający tam olbrzymie połacie mogli uchronić chłopów (we własnym interesie) przed jego poprzednim panem. Nabrało to znaczenia szczególnie po pozostawieniu chłopów na łasce i niełasce szlachty przez Zygmunta Starego. Pojawiła się więc szczególna i wymowna sytuacja: po unii lubelskiej do wspólnego sejmu weszli przedstawiciele litewscy pozbawieni tradycji parlamentarnej, natomiast posiadający silną tradycję rządów rodowo-autokratycznych. To już groziło upadkiem polskiego parlamentaryzmu, jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że w naszym parlamentaryzmie

⁴ A. Sucheni-Grabowska, op. cit., s. 34.

nie uporano się z zasadą podejmowania uchwał większością głosów, choć taka tradycja była w Polsce jeszcze za czasów Długosza.

Po drugie: sytuacja społeczna „masy herbowej” (pod wpływem wspomnianego zmniejszenia „napięcia społecznego”), czyniła ją jakby gotową klientelą do wynajęcia w ten czy inny sposób, zmniejszając determinację walki o zmianę jej sytuacji.

Sytuacja ta pod względem politycznym prowadzi do nieodpartych wniosków: litewski bizantyzm w sposobie rządzenia w zetknięciu z koronnym parlamentaryzmem i sytuacją postępującej pauperyzacji szlachty po unii lubelskiej wpłynął na upadek poziomu funkcjonowania sejmu i uruchomił inny mechanizm walki politycznej, który w tragicznej formie miał rozwinąć się w *liberum veto*.

Dążenia reformatorskie, demokracja szlachecka natrafiły na hierarchiczność dwojakiego autoramentu; wpływu litewskiej mentalności politycznej na Koronę oraz – w przeciwnym kierunku – rozwijające się na magnackie fortuny polonizujących się Rusinów, a także możnowładców koronnych na kresach południowo-wschodnich podległych wpływom orientalnemu. W obu przypadkach rezultat był ten sam: postępująca hierarchiczność społeczna⁵ która objawiała się zniewoleniem chłopów, uniemożliwieniem dopływu świeżej krwi i talentów spoza warstw dominujących. Przykłady takich nie wykorzystanych możliwości to talenty w rodzaju Ezofowicza, czy Michała Glińskiego, który odtracony przez Zygmunta Starego, uwikłany w spory z możnowładcami – w końcu stał się poważnym przeciwnikiem na usługach Moskwy.

Po unii lubelskiej 1569 roku następuje upadek ruchu egzekucyjnego, a z nim razem siła demokracji szlacheckiej.

Po pierwsze: następuje proces koncentracji własności ziemskiej, który był tendencją ogólnopolską, ale szczególne postępy czynił w Małopolsce i na Rusi. Powstają pierwsze ordynacje, czyli swoiste państwa w państwie, zwłaszcza na terenach wschodnich.

Pat polityczny

W XVI-wiecznej Polsce model ustrojowy wyznaczały trzy elementy: średnia szlachta, magnateria i król. Dwa pierwsze elementy miały podłoże społeczne – trzeci: osoba króla zasadzał się na zdolnościach osobowych panującego monarchy. Silne osobowości takie jak Aleksander, a zwłaszcza Zygmunt I Stary, Zygmunt August stanowiły komplementarny element tego systemu. Ale jego kruchość ujawniły dwa bezkrólewia następujące po sobie w krótkim czasie. Po śmierci Zygmunta Augusta swoją pozycję umocniła jeszcze szlachta, ale później czas pracował na rzecz magnatów zasilonych profitami, nie tylko politycznymi, po unii lubelskiej.

Próba sił nastąpiła zarówno w planie religijnym, jak i politycznym. Interrexem nie został proponowany przywódca szlachty – kalwin Jan Firlej, a więc reprezentant reformatorskiego ducha, lecz arcybiskup Jakub Uchański. Wprawdzie przyjęto propozycję przywódcy szlacheckiego – Mikołaja Sienickiego w sprawie elekcji *viritim* (obowiązek udziału w elekcji całej szlachty), ale z kolei miejsce elekcji: nie pod Lublinem (gdzie mieli duże wpływy reformatorscy przywódcy szlachty), lecz pod Warszawą (gdzie dominowała fanatyczna szlachta mazowiecka podatna na magnackie manipulacje) – było atutem możnowładców. Ta pierwsza próba była już przegraną szlachty na korzyść magnatów, podobnie jak i elekcja *viritim* z czasem stała się atutem magnackim.

Drugie starcie nastąpiło po ucieczce Henryka Walezego (1574). Wprawdzie wybór Stefana Batorego oznaczał zwycięstwo obozu szlacheckiego, ale przecież na trzy dni przed wyborem Batorego obóz magnacki obrał królem Maksymiliana II znów w imię skłonności absoluty-

⁵ A. Wyczański, *Uwarstwienie społeczne w Polsce XVI wieku. Studia*, Wrocław, 1977, s. 254.

stycznych tegoż kandydata. Zapowiadało się rozstrzygnięcie zbrojne i tylko śmierć Maksymiliana zapobiegła rozlewowi krwi.

Trzecie starcie nastąpiło w czasie wyboru Zygmunta III Wazy, gdzie magnateria znów wybrała kontrkandydata w postaci arcyksięcia Maksymiliana. Tym razem nie obyło się bez zbrojnego starcia i dopiero zwycięstwo Jana Zamoyskiego pod Byczyną w roku 1588 i uwięzienie arcyksięcia uśmierzyło te absolutystyczne skłonności magnatów.

Ostateczna rozprawa dokonała się w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, gdzie przegrana reformacji w walce zbrojnej wprawdzie uchroniła Rzeczpospolitą przed zapędami absolutystycznymi typu habsburskiego, ale jako środek represyjny pojawiła się kontrreformacja. A więc nie forma rządów – kwestia ustrojowa – stała się terenem walk, lecz sfera ideologii: walk religijnych i kultury.

O tym, jak prężnie i szybko kontrreformacja zapuszczała korzenie na terenie Rzeczypospolitej, mogą świadczyć fundacje kościelne. W roku 1582 jeszcze nie był ukończony pierwszy na świecie kościół barokowy – wzorzec architektoniczny „nowego ducha”, czyli kościół II Gesu w Rzymie, a już rozpoczęli jezuita budowę nawiązujących do tego wzoru kościołów na ziemiach Rzeczypospolitej: w Nieświeżu (1582), Lublinie (1586), Kaliszu (1588).

W dziedzinie nauki nastąpił upadek uniwersytetu krakowskiego, a akademia wileńska i zamojska nie odgrywały większej roli, tym bardziej że wileńska była już pod wpływem jezuitów, podobnie jak szkolnictwo średnie, które zmonopolizowało umysłowość szlachty ze względów materialnych nie wyjeżdżającej na studia zagraniczne. Tak rozpoczyna się wiek XVII jako jaskrawy kontrast poprzedniego stulecia w rodzaju wyznawanych ideałów, jak i ich społecznego adresu. Dominacja szlachty wyznaczającej ideały renesansowe kończyła się na rzecz zwiększających się wpływów magnaterii, wspieranej ideałami kontrreformacji.

Decydującym momentem w naszej nowożytnej historii były – zdaniem historyków – wydarzenia zwane rokoszem Zebrzydowskiego. Dla modelu ustrojowego państwa rokosz ten, jak i lata bezpośrednio po nim następujące miały charakter przełomowy. Przede wszystkim późniejsza lawina faktów, wykraczająca poza intencje rokoszu Zebrzydowskiego (zjazd sandomierski, a później wiślicki z szerokim programem reform zakończony zbrojną interwencją ze strony króla pod Guzowem 6 VII 1607 r.) była ostatnią próbą sił, która zdecydowała o losie państwa. Dotychczasowy układ sił, oparty na wpływach szlachty, magnaterii i króla – ogniskujący się w arystokratycznym, ale niezależnym od nadmiernych wpływów magnackich modelu państwa został rozbity właśnie pod Guzowem. Tam skończyły się marzenia o reformach jak na owe czasy – głębokich – a sojusz magnacko-królewski oparty został na idei kontrreformacji, zdolnościach politycznych króla i okolicznościach zewnętrznych.

Jak przedstawiały się poszczególne elementy tego modelu? Zygmunt III Waza zmierzał do koncepcji absolutyzmu opartej na Kościele i jego ekspansywnej kontrreformacji, oraz na bliskich związkach z magnaterią, a więc byłby to ideał absolutyzmu typu hiszpańskiego. Teoretycznie było to możliwe, tym bardziej że szlachta stawała się coraz bardziej zależna od magnaterii. Ale król musiałby mieć wówczas instrument polityczny utrzymujący magnaterię we względnej zależności, m.in. taki, jaki niegdyś proponowała królowa Bona w postaci dominujących wobec magnatów możliwości materialnych.

Tak jednak nie było, ponieważ to właśnie magnaterią miała atut w postaci uzależnionej od siebie szlachty, w dodatku pozbawionej już wówczas świątliwych przywódców, którą można było wykorzystać pod hasłami złotowolnościowymi (w imię dawnych ideałów ruchu egzekucyjnego). A poza tym magnaterią mająca perspektywy szybkiego bogacenia się na wschodzie nie była zainteresowana ścisłym sojuszem z dominującym królem według absolutystycznych wzorów ustrojowych np. hiszpańskich. W ostatecznym rozrachunku sojusz magnacko-królewski stawał w słabszej pozycji króla, który zresztą nie miał zasadniczego instrumentu w postaci scentralizowanych i w miarę prawnie niezależnych od magnatów struktur państwo-

wych, jako że reformy zostały przerwane w połowie tego procesu, ani dominacji materialnej w takim stopniu, aby dysponować własnymi siłami o decydującym znaczeniu.

Pozostawał trzeci element: okoliczności zewnętrzne. A były nimi kolejne wojny, a więc okoliczności niepomysłne dla stabilizacji władzy absolutnej według zamierzeń Zygmunta III.

Dalsze losy potoczyły się wiadomo jak, ale przecież jeszcze (szesnaście miesięcy wcześniej) wraz z wezwaniem sejmiku generalnego małopolskiego do zjazdu w Steżycy możliwa była ugoda szlachty z królem. Możliwe było odwrócenie karty dziejowej, wraz z przyjęciem reform, nawet w ograniczonej formie, głębsze doświadczenie idei renesansowych dla wzmocnienia instytucji państwowych, zwłaszcza stałej armii i podatków. Odrzucenie tego programu przez Zygmunta III wprowadziło państwo na równię pochyłą. Można oczywiście zapytać o kontekst europejski, o postępującą kontrreformację. Owszem, ale wejście Rzeczypospolitej w okres kontrreformacji ze wzmocnionymi instytucjami państwowymi uniemożliwiłoby tak destrukcyjny bieg wypadków, nawet wobec niesprzyjającej koniunktury zewnętrznej w następnych dziesięcioleciach. Tym bardziej że opcja na model absolutystyczny też nie miała żadnych szans.

Wybór Zygmunta III był więc postawieniem na kontrreformację, na absolutyzm i na magnaterię, przy jednoczesnym braku spoistości i nadrzędności struktur państwowych nad samowolą magnacką, oraz przy wyeliminowaniu szlachty z partnerskiej gry politycznej. Szlachcie pozostała złotowolnościowa frazeologia i stopniowe uzależnienie od magnatów. Następcy Zygmunta w coraz mniejszym stopniu stawali się partnerami wobec „kresowych królików”, nie tylko z powodu braku stabilnej i sprawnej struktury państwa, ale i dlatego, że pozycja króla była uzależniona odtąd od jego talentów politycznych. A tego nie można niczym zagwarantować, jako trwałego elementu politycznego.

Przegrana szlachty była równocześnie przegraną myślenia renesansowego w aspekcie prawnoustrojowym. Ale też była to przegrana nie tylko polityczna. Już w tym momencie zarysowują się symptomatyczne odrębności. Na przykład sposób rozumienia „złotej wolności”: „Złota wolność szlachcica oparta była wprawdzie na myśleniu kategoriami całego państwa, lecz nastawiona na bezruch, natomiast złota wolność magnacka była ideą dynamiczną, ale nie operującą kategoriami całościowymi”.⁶ Cóż to oznacza?

W przeciwieństwie do państw zachodnich, które absolutyzm wzmocnił zewnątrz, a kontrreformacja poddawała wewnętrzne motywacje do scentralizowanych struktur państwowych, w Polsce XVII wieku absolutyzm wzmocnił nie państwo jako całość, lecz kresowych „królików”. Faktycznie kontrreformacja, wzmacniając interesy poszczególnych magnatów, „absolutyzując” ich dążenia, odnosiła skutek destrukcyjny w skali państwa.

Co wynika z tych faktów? Otóż w Polsce początków XVII wieku, a więc po unii lubelskiej doszło do dwóch znamienych sytuacji.

Pierwszą można określić podwójnym kompromisem, drugą – fuzją sprzeczności.

Podwójny kompromis polegał na tym, że ani reformy ruchu egzekucyjnego nie zostały doprowadzone do końca, tzn. do takiego punktu, w którym wzmacniałyby państwo, np. według koncepcji Jana Zamoyskiego, ani model monarchii absolutnej nie został również zrealizowany. Zderzenie ideologii renesansu i kontrreformacji skończyło się patem politycznym i prawnoustrojowym.

Dlaczego tak się stało? Hipotez jest wiele. Ale jedna jest trudna do odrzucenia jako fakt zbyt oczywisty: unia lubelska dokonała połączenia dwóch światów w obrębie jednego państwa.

Po unii lubelskiej ekspansja na tereny wschodnie, poza misją cywilizacyjną (przyjmowanie norm ustrojowych Korony), wytwarza nowe siły polityczne w postaci wpływowych rodów magnackich (lub szlachty dochodzącej do fortun na magnacką skalę) o autokratycznych spo-

⁶ *Dzieje Polski*, Warszawa, 1978, s. 355

sobach myślenia, które opowiadają się za absolutystycznymi formami ustrojowymi, przeciwko szlachcie zdominowanej wpływami renesansowej demokracji. Nowi, wpływowi magnaci wprowadzili na wschód pewien element cywilizacyjny, ale też sami ulegają wpływom wschodniej kultury bizantyjskiej, nie licząc spolonizowanych Rusinów przynoszących swój styl myślenia politycznego i materialne środki, w postaci wielkich fortun, do jego realizacji.

Bizantyzm... renesansowy humanizm – co stoi za tymi pojęciami?

Bizantyzm

Po upadku Rzymu formy starożytnej kultury zostały zniszczone lub zapomniane. Zachód musiał więc tworzyć nowe formy. Zniszczone zostały nie tylko przedmioty kultury materialnej, lecz także i umiejętności, aż do umiejętności pisania włącznie. W chrześcijańskiej kulturze Zachodu decydujące znaczenie miała myśl Augustyna, która przeszła przez tradycje Rzymu. Estetyka wschodnia Bazylego wyszła z Grecji. Zachód podnosił tradycję Cicerona, natomiast Wschód Platona. W sztuce Wschodu decydował pierwiastek boski, Bizancjum mówiło i myślało po grecku. Wschód był świadomym kontynuatorem tradycji greckich, miał być „Nowym Rzymem”, były to świadome cele Konstytucji Wielkiego. Świadczy o tym np. ustawienie przed kościołem św. Zofii 427 „pogańskich” posągów greckich i rzymskich, choć religijność chrześcijańska była doktryną obowiązującą.

Wobec zalewu barbarzyństwa Bizancjum konserwowało wartości kultury antycznej. Ale też pojawił się zupełnie nowy czynnik – położenie geokulturowe. Bizancjum z jednej strony było rzeczywistym dziedzicem świata grecko-rzymskiego, ale z drugiej sąsiadowało z kulturami Wschodu – przede wszystkim Persji, świata mahometańskiego i judaizmu. Jak wiadomo – z jednej strony (do VI wieku) istniała Akademia Platowska, ale z drugiej – nowa religia chrześcijańska i wreszcie z trzeciej – sąsiedztwo innych kultur i religii wschodnich. Powstała sytuacja swego rodzaju, synkretyczna. Stąd być może tak wielkie znaczenie praktyczne, ze względu na konieczność utrzymania spójności i tak z czasem kurczącego się imperium – miały metody sprawowania władzy oparte na centralistycznym modelu i celowym niedookreśleniu miejsca i roli cesarza w hierarchii władzy i wartości.

Synkretizm kulturowy i centralizm sprawowania władzy⁷ doprowadził z upływem czasu do wykształcenia się cech swoiście bizantyjskich, które można sprowadzić do kilku pojęć.

1. Hierarchiczność. Platowska idea koła wszechobecna w architekturze jako symbol ideowy ma swoje odpowiedniki w sposobie sprawowania władzy, ma także wpływ na formowanie się ikonografii sakralnej. Centralizm cesarstwa polegał na tym, że dwór wyznaczał wzory nie tylko zachowań, ale i wzory artystyczne. Dla przykładu: cesarz tronujący inspirował ikonografią Chrystusa w majestacie; orszaki dworzan wpływały na sposób przedstawiania apostołów, wreszcie styl i programy ikonograficzne stworzone na dworze obowiązywały w całym cesarstwie, a kanon dworski obowiązywał jako wzór artystyczny.

2. Rytualność. Już powyższe przykłady wskazują na znaczenie rytuału i nie była to kwestia wyłącznie dworskiej próżności, lecz miała pewien sens ideowy, zwany „mistycznym materializmem”⁸, który „swe intencje mistyczne realizował przez materialną świętość”.

3. Konserwatyzm. Bizancjum czuło się spadkobiercą kultury grecko-rzymskiej, stąd przede wszystkim dążenie do zachowania przeszłości kulturowej (wspomniane gromadzenie posągów mimo odmienności ich wymowy wobec doktryny religijnej).

4. Centralizm. Zarówno przejawiający się w sposobach sprawowania władzy, jak i specyficznej nieokreśloności miejsca cesarza pomiędzy władzą boską, a władzą prawa.

Jak twierdzi Steven Runciman, głównymi składnikami bizantyzmu była „myśl platońska”, przekazana przez takich interpretatorów, jak poganin Plotyn, Żyd Filon i chrześcijański

⁷ W. Tatarkiewicz, *Historia estetyki*, Wrocław ..., 1967, t. II, s. 45–47.

⁸ Op. cit., s. 46; oraz: J. Nowosielski, *Bizancjum i Zachód*, „Literatura na Świecie”, 12, 1980, s. 26.

heretyk Orygenes, w połączeniu z orientalną tradycją monarchii hellenistycznej i pragmatyczną władzą cesarza rzymskiego⁹ Jednakże główny teoretyk sprawowania władzy w cesarstwie – „Euzebiusz był zhellenizowanym Syryjczykiem, który niewiele wiedział o tradycjach rzymskich”¹⁰ W cesarstwie bizantyjskim (z powodu sprzeczności doktrynalnych) pojawiła się szczególna niejasność koncepcji władzy. Rzymska władza cesarska opierała się na wyborze przez armię, senat i lud, a w przypadku zawodu spowodowanego sposobem sprawowania władzy, elektorzy mogli starać się obalić nie lubianego władcę w drodze buntu wojskowego, administracyjnego, czy rozruchów. Cesarz rzymski był źródłem prawa, ale prawo stało ponad nim. Tymczasem władca bizantyjski począwszy od czasów Konstantyna „dzięki swojemu szczególnemu związkowi z Bogiem” pozostawiał w zawieszeniu podstawową kwestię podmiotowości czy też przedmiotowości wobec prawa. W powszechnej świadomości „zwyczajni ludzie, mężczyźni czy kobiety, w Bizancjum wierzyli, że ich cesarstwo jest świętym cesarstwem Boga na ziemi, ze świętym cesarzem jako przedstawicielem Boga wobec ludzi i ludzi wobec Boga”.¹¹

Ta podstawowa kwestia do końca nie rozstrzygnięta w Bizancjum oraz wspomniane cztery cechy bizantyzmu stały się źródłem podstawowej różnicy w sposobach myślenia i mentalności ludzi Wschodu i Zachodu.

Bizantyjska hierarchiczność i rytualność, a także specyficzna koncepcja władzy miały wsparcie w mistyce „realizowanej przez materialną świetność”. Wszystko to razem współistniejące stworzyło nie tylko pewien styl w sztuce, lecz przede wszystkim pewien styl myślenia, pojmowania władzy i miejsca człowieka na świecie.

Istotą tych rozważań nie jest kultura Bizancjum w ogóle, lecz te wątki, które prowadzą w kierunku Polski. Ślady tej ekspansji znajdujemy w malarstwie szkoły serbsko-macedońskiej, zwłaszcza XIV w. Terenem ekspansji artystycznej Konstantynopola była również Bułgaria XIII i XIV wieku. Dalej na północ wpływy te przechodziły na tereny ówczesnej Wołoszczyzny, gdzie krzyżowały się wpływy bizantyzmu przechodzące przez Macedonię, Serbię i Bułgarię. Wreszcie terenem wpływów sztuki bizantyjskiej stała się Ruś, na której w XIV wieku pracowało wielu artystów-przybyszów.

Najsławniejszy z nich Teofan Grek przybył w latach sześćdziesiątych XIV wieku do Nowogrodu i pozostawił liczne dzieła (freski w nowogrodzkiej cerkwi Przemienienia, ikony w kremlońskim soborze Zwiastowania w Moskwie, oraz prawdopodobnie ikonę Marii Dońskiej w Galerii Tretiakowskiej). Ten wcześniejszy dekorator kościołów w Konstantynopolu i na Krymie dokumentuje wyraźnie drogę bezpośrednich wpływów kultury bizantyjskiej na Ruś.

W architekturze pierwsze murowane cerkwie (sobory Sofijskie w Nowogrodzie Wielkim, Połocku i Kijowie) zbudowane zostały na wzorach bizantyjskich (krzyżowo-kopułowych), co świadczy o bezpośrednich wpływach bizantyzmu już w X i XI wieku.

Upadek Konstantynopola jako „Drugiego Rzymu” stwarza nową sytuację – Ruś zyskuje poczucie misji dziejowej w formie kontynuacji tradycji bizantyjskich.

Ale ten rozwój kontaktów z Bizancjum został brutalnie powstrzymany najazdem mongolsko-tatarskim, a kultura bizantyjska poddana szczególnej kulturze politycznej Saraju.

Zwróćmy uwagę na istotę stosunków politycznych pomiędzy książętami ruskimi a chanem.

Przy niezwykle ciężkich warunkach narzuconych przez Tatarów – nie została zlikwidowana władza książąt ruskich, włącznie z tytułem wielkksiążęcym. Wszystko to zostało zachowane, ale książęta musieli jeździć osobiście do Saraju i przed obliczem chana zatwierdzać swój tytuł. Zatwierdzenie to, zwane jarłykiem, było nie tylko instrumentem sprawowania władzy, ale też miało poważne konsekwencje.

⁹ S. Runciman, *Teokracja bizantyjska*, Warszawa, 1982, s. 155.

¹⁰ Op. cit., s.27.

¹¹ Op. cit., s. 156.

O jarłyk, a zwłaszcza wielkoksiążęcy, walczono zaciekle, licytując się wobec chana, którego interesowały jedynie cele polityczne, a nie środki. Ta sytuacja powodowała, że wielu pretendentów zamiast z jarłykiem „wracało” do domu z wypitą trucizną, inni załatwiali równocześnie swoje pretendenckie porachunki przy zbrojnej pomocy chana.

Ten mechanizm był nie tylko wyniszczający, ale i demoralizujący. „Aby ugruntować posiadaną czy zdobyć nową pozycję w Saraju, książęta musieli działać zdecydowanie i brutalnie, a w praktyce podstępnie i obłudnie, musieli mieć pieniądze i podarki dla chanów, ich żon i urzędników chańskiego dworu. Nawet po uzyskaniu zatwierdzenia trzeba było jeździć niejednym raz do Saraju, na każde wezwanie chana czy dla załatwienia jakichś własnych nowych interesów”.¹²

Ten instrument demoralizacji nie był tylko udziałem książąt, a więc szczytów społecznych. Represyjny porządek nad podbitą ludnością utrzymywali tzw. bakakowie. Pochodzili oni z miejscowej najczęściej ludności – zajmując się ściąganiem danin, byli jednocześnie dowódcami oddziałów wojskowych. W ten sposób jednocześnie osiągnano trzy cele: podział ludności miejscowej na rządzonych i rządzących (bakaków), zastraszenie militarne, oraz eksploatację ekonomiczną, a raczej jej skuteczne egzekwowanie, wreszcie kontrolę (przy pomocy oddziałów) czy polecenia z Saraju są odpowiednio wypełniane.

Jarłyk – jako mechanizm polityczny i bakakowie – jako instrument społecznej polityki – oto podstawy dominacji tatarskiej na Rusi.

Ten rodzaj praktyki politycznej zaszczerpiony przez Tatarów funkcjonował również w momencie powstawania monarchii rosyjskiej. „Kalita od początku do końca swego panowania utrzymywał jak najlepsze stosunki z Orda, nie przedsięwziął nigdy nic, co by go mogło z nią poróżnić, i z jej pomocą uderzał jak najostrzej na swoich przeciwników”.¹³

Tym bardziej było to możliwe, że chan chętnie inspirował walki bratobójcze w imię gorliwości wobec Saraju i sam Kalita stłumił powstanie antytatarskie w Twerze (1327), a potem rozsunął taką sieć intryg, że zatwierdzony uprzednio w księstwie włodzimierskim Aleksander, został wezwany przed Chana i ścięty razem z synem.

A teraz przyjrzymy się sytuacji religijnej w warunkach niewoli mongolsko-tatarskiej. Przede wszystkim zasadnicze skutki miało zburzenie Kijowa – pierwszorzędnego ośrodka kulturalnego i religijnego. Metropolici odtąd przenosili się z miejsca na miejsce, aż metropolita Teognast osiadł w Moskwie w XIV w. Do tego czasu metropolia kijowska miała siedzibę we Włodzimierzu, oprócz tego istniała metropolia w Nowogródku (1299) i Haliczu (ok. 1302). W czasie włodzimierskiej lokalizacji metropolii została zniesiona halicka (1347), po czym po wystosowaniu petycji przez Kazimierza Wielkiego w roku 1370 powstaje ona znów (w pięć lat później powstaje także arcybiskupstwo łacińskie). W 1415 roku ludność Wołynia i Rusi Czerwonej poddana zostaje metropolii nowogrodzkiej, a w 1458 następuje oddzielenie metropolii moskiewskiej od polsko-litewskiej.¹⁴

Zasadnicze znaczenie miała przy tym działalność Iwana III, który nie tylko scalił ziemie ruskie, ale i wyzwolił je od zwierzchnictwa tatarskiego, wykorzystując sytuację w Ordzie.

Równocześnie nastąpił fakt niemal symboliczny: w roku 1472 zawarte zostało (drugie) małżeństwo Iwana III z Zofią – bratanicą ostatniego władcy Bizancjum. Spowodowało to poważne zmiany w dziedzinie obyczajów i dworskiego ceremoniału przywiezionego z samych źródeł, ze stolicy już nie istniejącego od roku 1453 imperium bizantyjskiego.

Po zaślubieniu Zofii Iwan III ostantacyjnie podkreśla bizantyjską tradycję, łącznie z dwugłowym orłem bizantyjskim, który znalazł się w pieczęci moskiewskiego władcy.

W tym momencie odżyły wpływy Bizancjum w postaci – sformułowanej przez mnicha Filoteusza do Wasyla III – koncepcji „Trzeciego Rzymu”. W praktyce religijnej wyraża się

¹² L. Bazyłow, *Historia Rosji*, Wrocław..., 1969, s. 48–49.

¹³ Op. cit., s. 60.

¹⁴ J. Keller, *Prawosławie*, Warszawa, 1982, s. 146–148.

zwołaniem przez Iwana IV tzw. Soboru Stu Rozdziałów i powstaniem „Domostroju”, czyli pełnej kodyfikacji zachowań „od sposobu oddawania czci Bogu i Gosudarowi aż po przepisy kiszenia ogórków”. W koncepcji tej „realizacja Królestwa Bożego zostaje przeniesiona na ziemię, stając się jeszcze jedną utopią, która jak wiele innych utopii, miała tę podstawową wadę, że mogła być realizowana. Była to utopia totalitarna i teokratyczna z wyraźną przewagą monarchii nad hierarchią¹⁵. Taka realna utopia mogła powstać pod wpływem z jednej strony idei władzy cesarskiej przejętej z Bizancjum, z drugiej strony zaś ideał ten zyskiwał motywację polityczną w działaniach scalających ziemie ruskie, wyzwalając je spod jarzma tatarskiego. Sytuacja ta stworzyła poczucie mesjanizmu, oraz „wprowadzenie państwa, a ściślej cara, w samo centrum misji Kościoła (...)”. W konsekwencji Cerkiew, pod groźbą zdrady swej religijnej misji, musi się włączyć w dzieło dokonane przez cara”, a „Car odpowiedzialny jest nie tylko za siebie, ale za państwo jako twór religijny i za każdego z jego ludzi, za ich ziemski los i za ich zbawienie”¹⁶.

W Bizancjum – jak wspominałem – pozostawała w zawieszeniu kwestia podmiotowości i przedmiotowości władzy. Przypisuje się to nieznamości prawa rzymskiego, ale być może nie był to jedyny powód. Euzebiusz jako główny teoretyk rządzenia w Bizancjum był Syryjczykiem, a więc pochodził z Azji Mniejszej, gdzie musiała być powszechnie znana idea „boskiego monarchy”, która rozwinęła się w Persji.¹⁷

Ta idea szczególnej łączności z Bogiem, nie znana ani Żydom, ani pierwszym chrześcijanom nagle pojawiła się w nie całkiem zdefiniowanej postaci w Bizancjum. Miejsce cara w centrum misji cerkwi i jego „odpowiedzialność” nie tylko za religię, ale i za zbawienie poszczególnych ludzi i ich ziemski los było więc czymś pośrednim pomiędzy perską ideą „boskiego monarchy”, a bizantyjską koncepcją władzy. Jej pojawienie się w „Trzecim Rzymie” było uzasadnione historycznymi doświadczeniami Rusi.

Renesansowy humanizm

W przeciwieństwie do sztuki Bizancjum dominująca forma architektury sakralnej Zachodu – to bazylika, (a więc budynek w czasach rzymskich o charakterze sędowotargowym), zbudowana na dominacji modułu trójkąta i kwadratu. Tu decydowała – w sensie ideowej interpretacji – idea kosmicznego porządku, a matematyczne piękno – zdaniem teologów z Chartres w XII w. – wynikało z „kosmosu zbudowanego wedle geometrycznych zasad przez boskiego architekta”¹⁸. Ale z tej przesłanki wyprowadzono zasadniczo odmienny wniosek od bizantyizmu: z kosmicznego porządku wynikają proporcje panujące w przyrodzie, a dzieło sztuki obok funkcji symboliczno-religijnej i moralnej miało także – z czasem – funkcję estetyczną, czyli także i swój aspekt ludzki, zmysłowy.

To jedno. Drugim jest scholastyczny trening średniowiecza. *„Człowiek ogarnięty scholastyczną skłonnością spoglądałby na ten sposób prezentacji architektonicznej z punktu widzenia zasady manifestatio. Uważałby za rzecz naturalną, że podstawowym zadaniem elementów tworzących budowę katedralną jest zapewnienie jej statyczności, podobnie jak było dlań rzeczą naturalną, że podstawowym zadaniem elementów tworzących sumę jest zapewnienie jej słuszności...)* Dla człowieka tego cały rymsztunek służek, żeber, skarp, maswerków, pinakli i kroksztynów był samoanalizą i samowyjaśnianiem architektury, podobnie jak zwyczajowy aparat partes, distinctiones, questiones i articuli był samoanalizą i samowyjaśnianiem rozumowania”¹⁹. Z tradycji antycznej dokonuje się wybór jej pewnych elementów już w sztuce

¹⁵ A. Hauke-Ligowski, *Od „Świętej Rusi” do imperium rosyjskiego*, „Znak”, 6, 1982, s. 487.

¹⁶ Op. cit., s. 488.

¹⁷ A. Smieszek, *Iran nowożytny*, Kraków, 1926.

¹⁸ W. Tatarkiewicz, *Historia estetyki*, op. cit., t. II, s. 197.

¹⁹ E. Panofsky, *Architektura gotycka i scholastyka (w:) Studia z historii sztuki*, Warszawa, 1971, s. 50.

starochrześcijańskiej. Scholastyka podejmuje wątek sprawiedliwości myślenia, a więc pewnej kultury umysłowej. W filozofii św. Tomasza pojawia się swego rodzaju równowaga pomiędzy spirytualizmem a materializmem. Św. Franciszek z Asyżu odkrywa przyrodę. Ten proces przynosi przemiany w sztuce Giotta i w twórczości Dantego, gdzie przyroda jest obecna. Petrarca odnajduje nie tylko przyrodę, ale i miłość, a więc jednostkę ludzką. W malarstwie Ducio di Buonisegna (*Madonna z Dzieciątkiem* (1308–1311) – Muzeum Katedralne w Sienie) stosuje tradycyjny schemat włosko-bizantyjski w kompozycji, choć z pewnym ożywieniem kolorystycznym, natomiast na drugiej stronie tego obrazu znajdowało się 26 epizodów z Męki Pańskiej z nowatorskim tłem pejzażowym, wnikliwą obserwacją natury. Ten widok na przyrodę w ołtarzu jeszcze jest odwrócony, zasłonięty. Ale już w 1328 w Palazzo Pubblico w Sienie, Simone Martini maluje zwycięskiego wodza wojsk sienieńskich – Guidoriccia Foglianiego na koniu z herbowym czaprakiem, a więc już nie miłosne westchnienie Petrarcki, ale wyeksponowany wódz – symbol sławy rycerskiej, wybitnej jednostki epoki renesansu.

Po odkryciu człowieka i natury przychodzi czas na historię. Wprawdzie Dante pisze swoją *Boską komedię* w *lingua volgare*, ale przecież dla niego ruiny rzymskie były cenne nie z powodów artystycznych, lecz historycznych. A dla zwykłych obywateli te właśnie ruiny starożytnego Rzymu były kamieniołomami, gdzie wylupywano całe fragmenty kolumn dla celów budowlanych, a marmurowe rzeźby wypalano na wapno. Takie były różnice pomiędzy Dante biorącym sobie za przewodnika Wergilego, Petrarcką zbierającym starożytne rękopisy Cyserona i Liwiusza a świadomością potoczną tego czasu. Ale mimo tego istniały przecież ślady starożytności, istniały kolonie Greków, a takie fakty jak przyjazd ok. 700 Greków na sobór do Ferrary w 1439 roku (i z powodu zarazy przeniesiony do Florencji) na który przybył m.in. bogaty orszak Jana Paleologa wywoływały wielkie poruszenie, w tym także i umysłowe. Wpływ wielbicieli Platona – Chrysolorasa, czy późniejszy – Gemistosa Plethona, na dom Medyceuszów, miał zasadnicze znaczenie dla odkrycia myśli filozoficznej Platona. Rozpoczyna się moda na starożytności a także i opracowanie np. Poggia, czy Blondusa da Forlì, a nawet psychoza (związana ze znalezieniem szczątków młodej rzymianki (1485) i entuzjastycznym ich przeniesieniem na Kapitol) do tego stopnia, że wywołało to reakcję ze strony zaniepokojonego papieża Innocentego VIII.

U podstaw renesansu pojawiły się takie elementy jak odkrycie jednostki, przyrody i poczucie historii.

Dwa pokolenia wcześniej: Polska renesansowa

Rok 1543 był jednym z najszcześniejszych dla kultury polskiej. W tym roku ukazało się dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego – *De poena homicidii* – cztery traktaty atakujące nierówność sądowniczą (w innym wymiarze kary oceniają zabójstwo szlachcica, a w innej plebejusza). Postulat równej kary wyprzedzał o dwa wieki podobne idee w skali sądownictwa europejskiego. Idea równości wobec prawa tak dalece odbiegała od ówczesnych pojęć, że francuski myśliciel Jean Bodin, młodszy o pokolenie od Frycza tak skomentował jego myśl: *większej niedorzeczności nie mógł napisać, kto jak on pragnie ukształtować prawa i obyczaje swej rzeczypospolitej.*

W roku 1543 opublikowane zostało dzieło Mikołaja Kopernika, którego rewolucyjna odkrywczość w nie mniejszym stopniu, jak w przypadku Modrzewskiego na gruncie prawa, również zaszokowała współczesnych uczonych i teologów.

W roku 1543 Stanisław Orzechowski „miał w tece” traktat *Respublica Polona*, gdzie występował przeciwko niesprawiedliwości społecznej. Przeciwno uciskowi chłopów w tym samym roku wystąpi Mikołaj Rej w swej *Krótkiej rozprawie...*

Były to najwybitniejsze zjawiska, ale nie jedyne.

Tak jak w roku 1543 w dziedzinie prawa Frycz Modrzewski a Kopernik w nauce wchodzili w apogeum humanizmu renesansowego, w kulturze okres ten zwieńczały *Treny* – Jana Kochanowskiego oraz niezwykła jako fakt kulturowy lokalizacja Zamościa (oba te wydarzenia miały miejsce w roku 1580).

Te filary polskiego renesansu mają wymiar nie tylko prestiżowy, lecz przede wszystkim stanowią dowód wkładu polskiej myśli w kulturę europejską. A to oznacza, że nie tylko ideały renesansowe zostały zaakceptowane w Polsce, lecz przede wszystkim zostały twórczo rozwinięte.²⁰

Fakty te wyrastały z odpowiedniego podłoża. W XVI wieku rzesze młodzieży szlacheckiej, choć nie tylko, wyruszały na południe i na zachód, do najlepszych uniwersytetów. Drogi prowadziły do uniwersytetów niemieckich (Lipsk, Wittenberga), a także do Bazylei, skąd płynęły główne impulsy reformacyjne. Drugi kierunek – to południe, do uniwersytetów włoskich (Rzym, Padwa, Bolonia), gdzie przede wszystkim spotkały się z kulturą rozwiniętego renesansu.

Zdaniem historyków w XVI wieku we włoskich uniwersytetach przebywało ok. 1500 studentów z Polski, co stanowiło niebagatelny potencjał umysłowy, nie licząc wpływów wspomnianych uniwersytetów zachodnich.

To społeczne przygotowanie do recepcji kultury renesansu rzeszy szlacheckiej z jednej strony miało swój odpowiednik na dworze królewskim podczas długiego panowania Zygmunta I Starego. Zarówno Zygmunt I wychowany przez Kallimacha, jak i jego żona – królowa Bona, która przywiozła ze sobą nie tylko dwór, ale i styl epoki renesansu,²¹ oraz społeczne przygotowanie szlachty do recepcji ideałów renesansowych – spowodowały, że wspomniane najwyższe osiągnięcia tej epoki stanowiły nie pojedyncze (choć niewątpliwie najwybitniejsze) fakty, lecz wyrosły z atmosfery kulturalnej renesansu polskiego.

Półwieczna walka, w pierwszej kolejności o egzekucję dóbr, a później o egzekucję praw za panowania Zygmunta I i Zygmunta Augusta była formą rewolucji bez przemocy. Przebudowywanie systemu państwowego polegało nie na narzucaniu siłą jakichkolwiek praw czy norm, lecz na egzekwowaniu norm już istniejących, ale – zdaniem obozu egzekucyjnego – nie przestrzeganych. Ruch ten był skierowany początkowo przeciwko magnatam (program zabraniający łączenia urzędów, oraz ograniczenia nadań dóbr królewskich, wreszcie przekreślenie przywileju mielnickiego przez konstytucję *Nihil novi* z roku 1505).

Drugim kierunkiem działań egzekucyjnych było duchowieństwo, a zwłaszcza walka z sądownictwem duchownym i dziesięcinami. Tu argumentem były „nowinki” reformatorskie.

Ta pokojowa rewolucja była możliwa i ściśle uwarunkowana wspomnianą obecnością młodzieży szlacheckiej we włoskich i zachodnioeuropejskich uniwersytetach. Humanizm renesansowy był przecież odkryciem przede wszystkim starożytności rzymskich nie tylko w sztuce, literaturze czy filozofii, lecz także i prawa rzymskiego. Te szerokie rzesze szlacheckie, dobrze wykształcone na zachodnich uniwersytetach, wyłoniły swoich wybitnych przywódców jak Jan Łaski czy Jan Zamoyski, którzy mając oparcie zarówno w szlachcie wychowanej na podobnych wzorach, jak wreszcie na dworze królewskim również uznającym te same ideały, mogli wywierać presję powołując się na świadomość praw i zasad ustrojowych świata starożytnego. A były to ustroje demokratyczne (przy wszystkich różnicowaniach).

Ideały demokratyczne nie były fasadą ani frazesem – jak na ówczesne czasy – o czym świadczą kariery takich wybitnych osobistości jak Janicki, czy Górnicki – reprezentanci karier duchownych wielu ludzi pochodzących także z plebsu.

Drugim istotnym ideałem Polski renesansowej była tolerancja. Jej tradycje pochodzą jeszcze z XV wieku. Po unieważnieniu tzw. kompaktów praskich w roku 1462 i wyklęciu Jerzego

²⁰ Por. np.: J. Ziomek, *Renesans*, Warszawa, 1973; J. Białostocki, *Renesans polski i renesans europejski*, (w:) *Refleksje i syntezy ze świata sztuki*, Warszawa, 1978.

²¹ W. Pocięcha, *Królowa Bona. Czasy i ludzie Odrodzenia*, t. I–IV, Poznań, 1949–58.

z Podiebradu (1465), Kazimierz Jagiellończyk pozostał jedynym sprzymierzeńcem Jerzego. Do Polski przyplwają idee luteranizmu, przyjęte zwłaszcza w miastach, oraz kalwinizmu, znajdującego zwolenników wśród szlachty. Z Włoch z kolei przybywa najbardziej radykalne ugrupowanie skupione wokół Fausta Socyna zwane z czasem arianami. Ich radykalna doktryna antropocentryzmu humanistycznego skupiała nienawiść zarówno katolików, jak i zwolenników Kalwina, czy Lutera, a mimo wszystko nie doszło do wojen religijnych. Sprawiała to elastyczna polityka Zygmunta I, jak i Zygmunta Augusta.

Geografia wpływów ruchu reformatorskiego spolaryzowała się w ten sposób, że w zachodnich dzielnicach (Śląsk, Wielkopolska Pomorze) utwierdzili swe wpływy luteranie, kalwini – w Małopolsce, arianie mieli najsilniejsze ośrodki w Lublinie i Rakowie. Jeśli do tego dołączymy jeszcze istniejące od końca XV wieku wpływy ruchu husyckiego, anabaptystów, „braci czeskich” – mozaika wyznaniowa w Polsce XVI wieku była bardzo już urozmaicona i bogata. Po unii lubelskiej w obrębie Rzeczypospolitej znajdują się jeszcze unicy i prawosławie, nie licząc mniejszych ugrupowań Ormian czy Żydów.

Podkreślmy syntetyczne cechy tego momentu historycznego zawierającego się pomiędzy datami 1543 a 1580 (łącznie z konfederacją warszawską regulującą stan prawny dysydentów), z uwzględnieniem uwarunkowań za czasów Zygmunta I.

1. Dominującą siłą społeczną jest szlachta, która w porównaniu do innych krajów europejskich jest warstwą najliczniejszą, bo dochodzącą do 10% liczby ludności.

2. Jej siłą ideową jest recepcja ideałów renesansowych (a zwłaszcza demokratycznych wzorów ustrojowych świata starożytnego), oraz tolerancja religijna w obrębie Rzeczypospolitej obejmującej różnorodne grupy wyznaniowe.

3. Wśród ideałów społecznych dochodzą do głosu demokratyczne przekonania o równości wobec prawa wszystkich obywateli (Frycz Modrzewski), protesty przeciwko uciskowi warstw upośledzonych, Rej, wreszcie idea wolności i godności człowieka (arianie). Ariański antropocentryzm humanistyczny stanowił apogeum recepcji kultury renesansu, ze szczególnym podkreśleniem znaczenia godności jednostki ludzkiej.

Kultura renesansu w Polsce miała również swój szczególny rodzaj doświadczeń. Oczywiście dominujące były wpływy bezpośrednio włoskie, lub pośrednio pochodzące z Włoch, ale nie zawsze jest oczywistością to, co przyszło do nas, z kultury np. niderlandzkiej – drugiego prężnego ośrodka renesansu o znacznej odmienności. Nasze doświadczenie renesansu miało dość mozaikowy charakter, a co najważniejsze: w obrębie Rzeczypospolitej te doświadczenia kultury renesansu doszły tylko do pewnego miejsca geograficznego, niekoniecznie pokrywającego się z geografiami wpływów katolicyzmu i prawosławia, co potęgowało wielostronność inspiracji.

Wystarczy uświadomić sobie sytuację wpływów w poważnych ośrodkach kulturalnych takich jak Lwów czy Wilno, nie tylko w XVI wieku, ale i później. Analogicznie różnorakie oddziaływania wpływały na możnowładców kresowych częściowo prawosławnych, a nawet jeśli katolickich – to poważnie ulegających mentalności wschodniej. Ci zaś odgrywali poważne role polityczne, niekiedy decydujące o konkretnych wyborach i faktach. Gdy doda się do tego pewien kosmopolityzm o charakterze reprezentacyjnym – powstaje dość osobliwa krzyżówka na kilku planach.

Spróbujmy porównać wyodrębnione tu cechy bizantyzmu i tradycji Zachodu.

1. W aspekcie politycznym:

a) bizantyzm – to hierarchiczny centralizm z dominującą rolą cesarza jako pośrednika pomiędzy światem boskim i ludzkim, a w praktyce „Trzeciego Rzymu” oznaczał podporządkowanie cerkwi władzy carskiej.

b) renesansowy humanizm – to odkrycie antycznej demokracji, oraz podział i równorzędność aspiracji władzy kościelnej i świeckiej skryształizowany w walce cesarstwa z papieżem.

2. W aspekcie kulturowym:

a) bizantyzm – jednostka stanowi ściśle określony element hierarchii świata ziemsko-boskiego, a reglamentacja ta wyznacza szczegółowo jej miejsce i rolę w tym świecie. Sfera wartości wyznacza skierowanie uwagi na znaczenie rytuału i mistykę wyrażaną przez „materialną świętość”, poza rzeczywistością przyrody.

b) renesansowy humanizm – wyzwolenie jednostki i nadanie jej podmiotowego charakteru („człowiek jest miarą wszechrzeczy”) wobec otaczającej rzeczywistości przyrodniczej i społecznej. Reformacja dołączy do tego jeszcze (zwłaszcza w kalwinizmie) postulat aktywnego trudu w dziedzinie społecznej, co stanie się później stymulatorem przemian cywilizacyjnych i inspiracją myśli oświeceniowej (postulat przekształcania przyrody przez człowieka).

Procesy te rozwijały się w pewnym czasie, ale zasadnicze fakty, takie jak wspomniane „odkrycia” jednostki ludzkiej, natury i historii, wyznaczały diametralnie różną perspektywę dla kultury renesansowego Zachodu w porównaniu z sytuacją „Trzeciego Rzymu”.

Oto podstawowe argumenty, które pozwalają stwierdzić, że teza Czesława Miłosza o tym, że „cała kultura europejska wywodzi się z antyku” – jest pozbawiona podstaw. Podobnie jak kwestia naśladownictwa, która nie uwzględnia interferencji.

Interferencja dwu kultur

„Stanisław Koniecpolski, hetman wielki koronny, znakomity dowódca, organizator i budowniczy, był też inicjatorem tkalni jedwabiu na wielką skalę. W latach 1641–43 zaprowadził w Brodach, swym mieście na Podolu, własną hodowlę jedwabników i uruchomił własne tkalnie kierowane przez sprowadzonych z Flandrii specjalistów. Po kilku jednak latach, owe tkaniny jedwabne przetykane złotem i srebrem (złotogłów) zaczęto wytwarzać w nowym duchu – wzorowano je nie na włoskich czy hiszpańskich, jak początkowo, a na perskich i tureckich. Łączyło się to ze zmianami załogi – Flamandów zastąpiono Grekami z Konstantynopola. Była to bardzo znamienna zmiana, ilustrująca postępy orientalizacji smaku w naszej kulturze”...²²

Ta orientalizacja zwykle jest utożsamiana z wpływami perskimi i tureckimi, co ma oczywiście potwierdzenie w licznych przykładach, ale nie wyłącznie. Orientalizacja smaku jest tylko kierunkowym wektorem. Jego konkretyzacja w sztuce XVII wieku w Polsce ma bliższe i bardziej wymierne powody. Wbrew częściowemu opisom sztuki tego stulecia i fascynacjom portretem trumiennym, to znów sarmatyzmem – autor pierwszego kompletnego opracowania sztuki XVII wieku – Mariusz Karpowicz tak oto uzasadnia pojawienie się bizantyzmu w polskiej sztuce: „Nie był to bowiem żaden przypadek, że dwa środowiska w Polsce miały w pierwszej połowie wieku wyraźny nalot bizantyzmu – lwowskie i poznańskie. Kompozycje oparte na wschodnich schematach ikonograficznych, wykonane – na nowatorskich zdobyczach techniki, idących z Zachodu. Ów bizantyzm był w znacznej mierze wynikiem uchwał synodów biskupich – kontreformacja wkraczała tu w programy malarstwa – malować należało Madonnę i świętych w sposób abstrakcyjny i bezcielesny, jak na ikonach lub w obrazie Jasnogórskim, a nigdy portretując renesansowym zwyczajem swą aktualną kochankę. Dlatego kościoły, zwłaszcza Wielkopolski, zapełniają bizantyjskie Madonny, nieraz jeszcze na złotym tle, lub tronujące dostojnie wśród aniołów. Ów bizantyzm jest też polską specyfiką, dla której nie znaleźliśmy analogii w reszcie Europy”²³.

Podobny argument znajdujemy np. w badaniach Lehra-Spławińskiego, który pisze: „Z ziem tych (kresowych – przyp. mój – S.P.) wychodzi coraz więcej osobistości, które nie tylko w życiu publicznym Rzeczypospolitej zaczynają grać [rolę] przewodnią, ale odznaczają się także w piśmiennictwie, wnosząc doń własne pierwiastki twórcze i wywierając coraz większy

²² M. Karpowicz, *Sztuka polska XVII wieku*, Warszawa, 1983, s. 209; oraz: A. Miłobedzki, *Architektura polska XVII w.*

²³ M. Karpowicz, op. cit., s. 67.

wpływ na kształtowanie języka literackiego (...) Sieniawscy, Żółkiewscy, Zbarascy, Wiśniowieccy, Sobiescy (...) Szarzyński, Szymonowie, Zimorowicze, Wacław Potocki mówili z pewnością polszczyzną zabarwioną zarówno w wymowie, jak w budowie form, a zwłaszcza w słownictwie, pierwiastkami ruskiego pochodzenia, które za ich pośrednictwem zostały wszczepione w mowę codzienną szlachty polskiej z ziem wschodnich i tą drogą znalazły dostęp do języka literackiego”.²⁴ Później, w II połowie XVIII wieku – zdaniem uczonego – „Wpływy te jeszcze się wzmogły i zaczęły przekraczać zakres zapożyczeń językowych, wnioskując poniekąd nawet w budowę gramatyczną języka”.

Badania językoznawców potwierdza sytuacja w ruchu wydawniczym na kresach. Od początku XVI w. do połowy XVIII w. funkcjonowało na tych ziemiach ok. 80 drukarni. Ich proporcje wyznaniowe kształtowały się następująco: katolickich było – 32, ruskich – 23, unickich – 5.²⁵ A zdaniem badaczy w pierwszej połowie XVIII wieku liczba druków pochodzących z drukami kresowych wynosiła 17,5% w latach 1720–1740 i 22% w latach 1740–1760,²⁶ co potwierdza tezę Lehra–Spławińskiego o wzroście wpływów piśmiennictwa i kultury tworzonej na kresach w XVIII w.

Przeptyw tych elementów z kresów ułatwiały m. in. „Wojny kozackie, które zepchnęły z ziem wschodnich Polski środkowej i zachodniej masy uchodźców, „egzulantów”, którzy stali się podstawą bezrolnego proletariatu szlacheckiego, a którzy w życie zbiorowe wnosili swe odrębne nawyki, obyczaje, język, kulturę towarzyską, przepojoną pierwiastkami ukraińskimi i wschodnimi”.²⁷

Sprzyja tym procesom zastana sytuacja wpływów religijnych.

Wracając z wyprawy kijowskiej w roku 1018 Bolesław Chrobry ustalił panowanie na ziemi czerwieńskiej, bełskiej i przemyskiej, ale już w roku 1030 zostały one zajęte przez Jarosława II, syna Włodzimierza. Panowanie ruskie trwa tam trzy wieki i dopiero od czasów wyprawy Kazimierza Wielkiego przeciwko sojuszowi rusko-tatarskiemu zaczyna się stopniowe opanowywanie tych ziem: sanockiej (1344), halickiej, przemyskiej, krzemienieckiej (1349); a w wyniku układów z Litwą – utrwalenie i rozszerzenie posiadania na ziemi: bełską, chełmską, włodzimierską i Podole naddniestrzańskie (1366). Po trzech wiekach poprzedniego panowania – jak wskazują badania językoznawcze – były to ziemie zniszczone.

Pod względem religijnym fakty przedstawiają się następująco: 988 r. – Ruś przyjmuje chrześcijaństwo z Bizancjum (za panowania Włodzimierza Wielkiego). Obszar między Bugiem i Dniestrem znajduje się więc w obrębie kultury bizantyjskiej z intensywnym wpływem hierarchii kościelnej. Powstają kolejne biskupstwa obrządku wschodniego: w Haliczu (1157), w Przemyślu (1220), następnie w Łucku, Włodzimierzu, Chełmie. Wszystkie były zależne od prężnego ośrodka kultury bizantyjskiej w Kijowie.

Wpływ misji katolickich rozpoczyna się dopiero od XII wieku (dominanie), ale nie jest on niewielki. Świadczy o tym sytuacja Kościoła w XV wieku, gdzie dominowała cerkiew, a Kościół rozwijał się powoli i właściwie poza Haliczem biskupi nie rezydowali, a tytularny status biskupstw był dość wymowny. Dopiero w 1412 roku stolica metropolii została przeniesiona do Lwowa i temu arcybiskupstwu podlegały biskupstwa: przemyska chełmskie, włodzimierskie, kamienieckie, kijowskie i mołdawskie. W niewielkim stopniu zmieniła sytuację unia brzeska z roku 1595, nie uznana przez wiele rodów magnackich, a także przez prawosławną hierarchię duchowną.

Po stłumieniu reformacji, kontrreformacja postanowiła „przyjrzeć” się również prawosławiu, a ponieważ prawa polityczne przysługiwały tylko szlachcie katolickiej – liczne rody

²⁴ T. Lehr–Spławiński, *Język polski. Pochodzenie, powstanie, rozwój*, Warszawa, 1947, s.290.

²⁵ M. Czarnowska, *Ilościowy rozwój polskiego ruchu wydawniczego 1501–1965*, Warszawa, 1967.

²⁶ Z. Kurzowa, *polshczyzna Lwowa i kresów południowo-wschodnich do 1939 roku*, Warszawa–Kraków, 1983, s. 26–27

²⁷ J. Krzyżanowski, *Dzieje literatury polskiej*, Warszawa, 1970, s. 11.

szlachty ruskiej także i z tych powodów przyjmowały katolicyzm. Unia brzeska była więc próbą kompromisu, o dość problematycznych skutkach. Ale nie to jest istotne, lecz różne powody i motywacje skłaniające do tworzenia przeróżnych fuzji pomiędzy prawosławiem a katolicyzmem, a także dwukierunkowy przebieg wpływów reformacyjnych, a później kontrreformacyjnych na wschód i odwrotnie: wpływy Bizancjum sięgające wieloma drogami na zachód w głąb Rzeczypospolitej.

Polityczna klęska szlachty, nadchodząca kontrreformacja, zdyskontowana przez magnaterię zmierzającą do koncentracji dóbr, (co umożliwiła jej polityczna rzeczywistość po zawarciu unii lubelskiej), podporządkowuje szlachtę (i reprezentowane przez nią ideały renesansowe) swoim wpływom znacznym w sferze powiązań kulturowych z prawosławiem i kulturą bizantyjską. Wpływy te – jak wskazuje analiza Karpowicza – są wykorzystywane przez kontrreformację, a bizantyzm na swój sposób jej służy.

W obrębie „Rzeczypospolitej Obojga Narodów” dochodzi więc do swoistej syntezy pierwiastka okcydentalnego i bizantyjskiego. Na czym polega jej istota?

Zacznijmy od ogólnej oceny sztuki polskiej XVII wieku i zachodzących w niej procesów: **„Lata 1630–1670 należą do okresów najwyższego napięcia twórczego, na jakie zdobyła się sztuka polska.** Można je porównywać jedynie z czasami późnego gotyku w Krakowie czy Gdańsku, lub z połową wieku XVIII we Lwowie, czy Wilnie, czy czasami Stanisława Augusta w Warszawie. **Są to lata, kiedy sztuka nasza przechodzi okres integracji** (podkr. moje – S. P.) Różnice między poszczególnymi nurtami, tak wyraźne i głębokie w okresie poprzednim, mają wyraźne tendencje do niwelacji. **Nie ma już tak bardzo wyraźnych podziałów na sztukę kosmopolityczną i rodzimą. Ta rodzima się europeizuje, ta kosmopolityczna – polonizuje, nie tracąc przy tym nic ze swych walorów artystycznych.** Oba te procesy należą do najciekawszych w naszym wieku XVII”²⁸

Co to oznacza? Przede wszystkim to, że cechy artystyczne, przyjmowane jako „obce” oraz te rozumiane jako „swoje”, przekształcają się w nową jakość. Ta poszczególna fuzja to nie tylko problem kosmopolityzmu i rodzimości, to także problem szczególnego połączenia pierwiastków zachodnich (wyniesionych do dominującej roli w okresie renesansu) i bizantyjskich, które zaczęły napływać do Korony po unii lubelskiej (niezależnie od wpływów polskich na wschód).

„Pozostawała Polska wszakże stale jednym z europejskich łączników między Zachodem a Wschodem. Związana z tym działalność kulturalna zarówno w XVI, jak i XVII wieku jest znana niestety dość jednostronnie. Dawniej historycy rozpatrywali ją głównie z punktu widzenia tzw. «misji cywilizacyjnej» Polski na Wschodzie, która miała polegać na przekazywaniu zdobyczy kultury zachodnioeuropejskiej bądź to ludności, która znalazła się w granicach Rzeczypospolitej, bądź jej sąsiadom wschodnim. Nie negując historycznej roli, jaką pod tym względem spełniła Polska zwłaszcza w XVI i XVII wieku, trudno byłoby akceptować interpretację tego rodzaju procesu jako jednokierunkowego. O tym, że tak nie było, świadczy choćby rozwój sztuki polskiej okresu Odrodzenia i szczególnie Baroku, kiedy dokonuje się na ziemiach Rzeczypospolitej swoiste stopienie elementów sztuki Zachodu i Wschodu”²⁹

Wpływ bizantyzmu w malarstwie sakralnym dokonuje się pod „firmą” kontrreformacji. Jest to niebywały paradoks, że ortodoksyjny katolicyzm lansuje prawosławny wzór ikonograficzny, ale fakt pozostaje faktem. Madonna Jasnogórska, która do dziś jest symbolem polskiego katolicyzmu jest także tego przykładem. A więc nie jest to jakiś efemeryczny nalot, ale cecha trwała. Istota procesów kulturowych, które ukształtowały naszą tożsamość.

Pod względem politycznym datą graniczną jest rok 1607, tj. rokosz Zebrzydowskiego, kiedy to nastąpiło załamanie się demokracji szlacheckiej inspirowanej myślą Odrodzenia wraz z powolnym zwrotem w stronę prób wprowadzenia koncepcji absolutystycznych.

²⁸ M. Karpowicz, op. cit., s. 68.

²⁹ J.A. Gierowski. *Historia Polski 1505–1764*, Warszawa, 19, s. 95.

Zjawiska: manieryzmu, sarmatyzmu i kontrreformacji należą do różnych dziedzin badawczych i z tych względów są rozpatrywane odrębnie, choć przecież występowały równocześnie, i – w moim przekonaniu – fakt ten ma istotne konsekwencje, choć dotyczy tak różnorodnych i nieporównywalnych zjawisk. Nie oznacza to jednak, że zjawiska te nie mają pewnych wspólnych kwalifikacji.

Zarówno manieryzm, jak i sarmatyzm, po pierwsze, wynikają z ducha renesansu (w tym drugim przypadku – chodzi raczej o renesansową motywację). Sarmatyzm, aczkolwiek pojawił się wcześniej, został nobilitowany renesansowym dążeniem do odkrywania własnych „starożytności”, własnej genealogii. Pojawił się zresztą analogicznie do innych mitów jak np. frankogallizm, germanizm, czy szwedzki nordyzm, miał też analogiczne funkcje. A więc przy całej odrębności sarmatyzmu jako mitu społecznego był on zjawiskiem analogicznym, jak i inne tego typu mity występujące w ówczesnej Europie. Podobnie ma się rzecz z manieryzmem, który pomimo swych stylistycznych odrębności miał także jedną podstawową cechę uniwersalną – prowadził do destrukcji kanonu kultury artystycznej rozwiniętego renesansu. Natomiast to, co jest specyficzne i odmienne, wynika ze szczególnych uwarunkowań już politycznych, religijnych i geokulturowych.

Z sarmatyzmem, pod względem kulturowym, kojarzy się głównie wpływ orientu turecko-tatarskiego czy perskiego, w strojach, broni, zdobnictwie itd. Zauważa się przepych, nastawienie ekstrawertyczne, któremu podporządkowano orientalne motywy, które miały olśniewać, demonstrować bogactwo i przepych, czyli powodować szczególny rodzaj oddziaływania właśnie na zewnątrz. W analizach motywów orientalnych na drugi plan schodzą motywacje introwertywne takich właśnie zachowań, również proveniencji wschodniej, choć niekoniecznie pochodzenia islamskiego, jak np. w dziedzinie wojskowości litewska wyższość strategii wojennej w bitwie grunwaldzkiej, sposób pojmowania władzy we wschodnich częściach Rzeczypospolitej czy nawet zjawisko tzw. neobizantynizmu w sztuce środowiska poznańskiego czy lwowskiego.

Manieryzm i sarmatyzm mimo wspólnego mianownika (inspiracja kulturą renesansu) były jednak zjawiskami zasadniczo różnymi. Manieryzm to styl w sztuce, gdzie szczególne znaczenie miał wykwent, inwencja, dedukcja, precyzyjna epigramatyczność itd., natomiast sarmatyzm – to mit populistyczny „narodu szlacheckiego”, który m.in. jednoczył szlachtę z różnych ziem i wpływów kulturowych.

Przy całej odmienności manieryzmu i sarmatyzmu jako zjawisk, istniało praktyczne spoiwo łączące je w sposób szczególny. Tym spoiwem była pragmatyka społeczna kontrreformacji, która wiązała zarówno płaszczyznę sztuki, jak i kontekst społeczny swego oddziaływania wyłącznie z mitem sarmatyzmu. Jak stwierdza Janusz Tazbir: „kontrreformacja sukcesy swe osiągała nie dzięki nawiązywaniu do przeszłości, lecz nowatorstwu liczenia się z przemianami, jakie zaszły w ideologii politycznej szlachty oraz ze wzrostem jej świadomości narodowej, jak również z faktem, iż katolicyzm polski rozwijał się w nieco innych niż w środkowej Europie warunkach. Położenie na skraju świata chrześcijańskiego nadawało mu misyjny charakter, pozbawiony jednak na ogół agresywnego charakteru wobec tzw. pogan”.³⁰

Ustalenia Tazbira podważają nie tylko utarte opinie na temat sarmatyzmu, głównie sformułowane przez oświeceniowych publicystów skupionych wokół „Monitora”, lecz także prowadzą do dalszych konsekwencji. Występują tu tezy istotne elementy: „liczenie się z przemianami”, czyli pewien rodzaj pragmatycznego realizmu kontrreformacji; łagodność wobec innowierców, czyli perswazyjny charakter misji; „katolicyzm potrydencki, oparty w Polsce w dużym stopniu na uczuciu i wyobraźni; (który) większą wagę przywiązuje do zewnętrznych przepisów kościelnych niż do rzeczywistej realizacji zawartych w dekalogu zasad

³⁰ J. Tazbir, *Sarmatyzacja katolicyzmu w XVII wieku* (w:) *Wiek XVII – kontrreformacja – barok*, (red. J. Pelc), Wrocław, 1970, s. 11.

etycznych.³¹ Dwa pierwsze elementy prowadzą do tego, że następuje „częściowe zatarcie różnic pomiędzy życiem świeckim a kościelnym”³², ale to „zatarcie różnic” sprowadza się do usankcjonowania hierarchiczności społecznej według kryteriów hierarchiczności religijnej. Innymi słowy następuje znamieny proces afirmacji realiów społecznych (wpływy bizantyjskie) przez kontreformację, czemu towarzyszy jednocześnie podporządkowanie tychże realiów kryteriom religijnym. Racjonalistycznej kulturze renesansu przeciwstawiane są kategorie uczucia i wyobraźni. Perswazyjna łagodność kontreformacji wobec polonizujących się innowierców (którzy zresztą mają stanowe interesy w poddawaniu się tejże polonizacji) łączy się z otwarciem przyływu wartości wschodnich ukształtowanych wpływami bizantyzmu. Dochodzimy tu do historycznego paradoksu: okcydentalizm w postaci ekspansywnego katolicyzmu potrydenckiego stwarza przesłanki do przyjęcia wartości kultury bizantyjskiej. Cechami tegoż bizantyzmu są tu: rugowanie z religijności elementów racjonalistycznych (zagadnienia etyczne) na rzecz uczuciowości i wyobraźni baroku przez manierystyczną destrukcję kanonów sztuki renesansowej. Ta strategia kontreformacji posługująca się mitem sarmatyzmu wobec szlachty prawosławnej przynosi wraz z polonizacją mentalność bizantyjską w obręb katolicyzmu. Sprzyja temu procesowi także i sama treść programu kontreformacji, np. kult maryjny zanegowany przez protestantyzm domaga się szczególnego podkreślenia nie tylko ilościowego, lecz i jakościowego. W tym przypadku decydujące znaczenie ma nie tylko liczba namalowanych obrazów o tematyce maryjnej, czy tematyce męczeńskiej (jako reakcja przeciwko protestanckiemu kwestionowaniu kultu świętych), lecz także i środki wyrazu. Wizerunki Marii muszą przekonać o jej niebiańskiej świętości, więc nie tylko zasadnicze znaczenie będą miały liczne obrazy przedstawiające akt wniebowstąpienia, ale też i środki artystyczne muszą być przekonujące, „nadziemskie”. Stąd właśnie bierze się ów bizantyzm formy w malarstwie środowiska poznańskiego czy lwowskiego – wskazany przez Mariusza Karpowicza.³³

Ta zmiana dokonuje się na różnych planach: sztuki, literatury, włączone są w nią koncepcje polityczne oraz żywotne mity ideologiczne, jak np. mit sarmatyzmu.

Spróbujmy zestawić podstawowe komponenty w aspekcie uwarunkowań historycznych z przełomu XVI i XVII wieku.

1. Czynniki geokulturowe – czyli położenie w środku Europy, pomiędzy tradycją Zachodu a wpływami kultury bizantyjskiej.

Powtórzmy zasadnicze różnice pomiędzy tymi kulturami. Tradycję Zachodu cechuje poczucie:

a) indywidualizmu (co jest zasadniczym skutkiem doświadczenia renesansu, przez które nie przeszły kultury Wschodu);

b) racjonalizm jako dziedzictwo doświadczenia z epoki Oświecenia, który stał się podstawą formułowania instytucji społecznych i wyobrażeń o kierunkach rozwoju cywilizacji.

Bizantyzm – w wyniku historycznych uwarunkowań – za naczelną wartość porządkującą uznaje nadrzędność systemu opartego na motywacjach irracjonalnych. Jednostka jest zawsze podporządkowana systemowi, bez względu na jego poszczególne motywacje, uzasadnienia, wywodzi się z bizantyjskiej nieokreśloności statusu władcy wobec Boga i późniejszymi zależnościami władzy cerkiewnej od carskiej.

2. Doświadczenie historyczne – czyli decydujące znaczenie naszej sytuacji w okresie od XVI do XVIII w. Jego szczególne wyznaczniki to:

a) czynnik demograficzno-polityczny, tzn. zaskakująca i nieproporcjonalna do innych krajów europejskich w XVI w. liczba szlachty ukształtowanej wpływami kultury renesansu.

³¹ Op. cit., s. 34.

³² Op. cit., s. 31.

³³ M. Karpowicz, *Sztuka polska XVII wieku*, Warszawa, 1983, s. 67; M. Walicki, W. Tomkiewicz *Malarstwo polskie*, op. cit., s. 20.

b) tworzenie się wpływowej magnaterii na kresach wschodnich ukształtowanej już przez kulturę i religię prawosławia, lub też ulegającej bizantyzmowi w wyniku bezpośrednich wpływów i uwarunkowań. Wpływy bizantyjskie, zwłaszcza poczucie hierarchiczności, sprzyjały aspiracjom magnackich rodów do budowania ich znaczenia m.in. politycznego.

c) przegrana szlachty (podległej w swej masie wpływom kultury renesansu) wobec magnaterii (ulegającej wpływom wschodnim), oraz wsparcie – na paradoksalnej zasadzie – pierwiastka bizantyjskiej hierarchiczności przez kontrreformację i jej absolutystyczne wzory (akceptowane w granicach poszczególnych ambicji magnackich) a nie skali państwa, które nie zdobyło się na strukturalnie trwałe reformy na zasadach scentralizowanych – doprowadziło ostatecznie do procesu dominacji pierwiastka bizantyjskiego magnaterii nad tradycją renesansową reprezentowaną przez szlachtę w jej masie.

Ten właśnie moment historyczny i te konkretne uwarunkowania społeczno-polityczne powodują nałożenie się bizantyzmu na tradycję renesansową. Stłumienie idei renesansowych przez absolutyzm proveniencji bizantyjsko-kontrreformacyjnej spowodowało ten szczególnie stop wartości oksydentalno-bizantyjskich.

W takich oto warunkach i w takim momencie historycznym powstała polska specyfika geokulturowa, której refleksy do dziś przejawiają się w różnych formach i transfiguracjach. I nie pozostaje z tym w sprzeczności bardzo wiele zjawisk o charakterze uniwersalnym, jak np. wspólna tradycja antyku, czy uniwersalizująca rola łaciny lub francuskiego. Tendencje uniwersalne na pewnym poziomie świadczą o wspólnej europejskiej tożsamości, jednak indywidualizację geokulturowa tworzą lokalne interferencje kulturowe i doświadczenia historyczne, które każdy naród ma tak odmienne, jak odmienne jest jego miejsce na ziemi, historia, w porównaniu do sąsiadów bliższych lub dalszych. Tych dwóch płaszczyzn nie można mylić lub wrywkowo stosować na użytek doraźnych celów, jeśli chcemy zachować minimum rzetelności intelektualnej.

Heteronomia Czesława Miłosza

Nie należy wybierać inaczej, jak tylko tak, żeby maksymy własnego wyboru były zarazem w tej samej woli zawarte jako ogólne prawo – pisze Kant w Uzasadnieniu metafizyki moralności (s. 78–79). Jeżeli wola szuka prawa mającego ją skłaniać w czymkolwiek innym niż w zdolności swych maksym do własnego powszechnego prawodawstwa, a więc jeżeli wychodząc poza siebie samą (szuka go) we właściwości któregoś ze swych przedmiotów, to zawsze wypływa z tego heteronomia.

Autonomia jako wybór wolnej woli jest możliwa do samorealizacji w warunkach wolności, także w sensie politycznym.

W okresie PRL-u nie mieliśmy tego podstawowego warunku jakim jest wolność. Jak utraciliśmy ten niezbędny warunek autonomii opisywał m.in. Czesław Miłosz w *Zniewolonym umyśle*. Do czasu odzyskania wolności, sposoby porozumiewania się Polaków podlegały heteronomii, czego wyrazem była np. tzw. mowa czopowa z całym systemem znaków porozumiewawczych pomiędzy autorem a czytelnikiem. Prowadziło nawet do wykształcenia specjalnej umiejętności tzw. czytania między wierszami.

Mówiono więc np. *nieufności w literaturze*, co oznaczało po prostu nieufność wobec systemu politycznego. Pisano o licznych odmianach romantyzmu, co oznaczało postulat indywidualizmu wobec systemu, który negował znaczenie jednostki. Proponowano mozaikowość gier kontekstualnych, jako środek artystyczny, a tak naprawdę chodziło o demaskację metod propagandy itd.

W tych warunkach nie była możliwa autonomia; a co jedynie było możliwe – to jej przekraczanie, co postulował na początku lat 70. Edward Balcerzan (*Przez znaki..., Poznań, 1972*).

Dziś mamy w Polsce wolność. Logicznym wnioskiem wypływającym z tego faktu powinno być całkowite odrzucenie heteronomii.

Czy tak się jednak stało? Czy wraz ze zdobytą wolnością odrzuciliśmy tę jedyną broń niewolników jaką jest heteronomia?

Czesław Miłosz proponując amerykańizację w niepodległej Polsce – jak wolno się domyślać – jest świadom dwoistości kultury polskiej i chciałby nas silniej związać politycznie z cywilizacją Zachodu.

W tej kwestii – jako podstawowej idei kierunkowej strategii politycznej – nie ma dyskusji: pełna zgoda!

Podstawowa niezgoda na ten postulat Miłosza wyrażony w paryskim odczycie wynika z tego że dla realizacji tego politycznego celu – chce używać kultury jako środka politycznego, czyli podporządkować jej swoistość celom politycznym. Cóż innego oznacza postulat amerykańizacji kultury jak nie podporządkowanie celom politycznym. Przecież jest to kolejna wersja heteronomii, na poziomie filozoficznym w niczym nie różniąca się od socrealizmu, gdzie także usiłowano podporządkować twórczość polityce.

Istota sporu sprowadza się do tego, aby w działaniach politycznych zachować zasadę tożsamości kulturowej i na tej podstawie realizować cele polityczne. W tym przypadku – integracji z Zachodem, a nawet więcej przy czynnym udziale USA. Skoro chodzi o ten sam cel – czyżby spór szedł tylko o środki, o metodę? A jeśli tak – to czy nie jest to spór drugorzędny?

Właśnie tu – jak sądzę – rozgrywa się zasadnicza różnica pomiędzy poczuciem wolności (autonomii w sensie Kaniowskim), a umysłem zniewolonym, który posługuje się heteronomią.

Nie można zbudować wolnego społeczeństwa posługując się niewolniczymi środkami (heteronomia). Nie można być równocześnie podmiotem i przedmiotem. Taki program jaki zaoferował nam Czesław Miłosz w swym paryskim odczycie w ostatecznym rachunku prowadzi do roztrwonienia odzyskanej wolności, bowiem proponuje nam heteronomiczną strategię kultury (podporządkowanie własnej tożsamości kulturowej celom politycznym), zamiast szukać takiej strategii, gdzie realizacja tego samego celu mogłaby być zgodna z istotą polskiej tożsamości kulturowej.

Ten podstawowy warunek nie jest wyrazem czegoś w rodzaju dumy narodowej, ale wynika z przekonania, że nie można zbudować trwałych związków politycznych ignorując podstawy kulturowe danego społeczeństwa. A taka ukryta teza istnieje w propozycji Czesława Miłosza.

Skąd takie pęknięcie w myśleniu Czesława Miłosza?

Przypuszczam, że konsekwencji myślowej naszego noblisty zaszkodziła moda. Jak wiadomo, negacja podmiotowości należy do żelaznego repertuaru postmodernistycznych środków oddziaływania, także politycznego w Polsce. Widać Czesław Miłosz postanowił wymienić w tym względzie przenikliwość na modę.

III. APOSTATA – LIBERAŁEM?

Totalitaryzm, nie tylko w Polsce, był w swej podstawie psychospołecznej oparty na emocjonalnej kategorii odwetu. W długiej perspektywie trwania, zarówno w wymiarze jednostkowym, jak i społecznym, nie można utrzymać stałego, wysokiego napięcia emocjonalnego, jeśli nie jest ono stymulowane nadzwyczajnymi okolicznościami, o powszechnej skali oddziaływania, jak np. rewolucja lub wojna. Z braku takich emocjonalnych stanów wyjątkowych, w stalinowskiej Rosji co jakiś czas wywoływano je sztucznie falami terroru, co dziś zbyt łatwo przypisuje się patologicznej osobowości Stalina.

Historia ostatniego czterdziestolecia, nie tylko w Polsce, to czas erozji systemu *światlanej przyszłości*, nie tylko z powodów szczególnych, np. niesprawności ekonomicznej, ale także właśnie z braku podstaw do podsycecia tegoż emocjonalnego stanu wyjątkowego.

Stopniowej erozji systemu towarzyszyły stosowne zabiegi władzy namiestniczej, zmierzające przede wszystkim do utrzymania swej władzy, co oznaczało m.in. także i przystosowanie funkcji literatury użytkowej do nowych uwarunkowań. Wyrazem tych zabiegów była zamiana – wraz z upływem czasu – ortodoksyjno–represyjnego socrealizmu na politykę kokieteryjno–perswazyjną, zmierzającą do zainteresowania pisarzy np. małym realizmem, czy tzw. tematem pracy, lub małą stabilizacją. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, w czasie małej stabilizacji – pisarzy już nie straszono, lecz kokietowano: konkursami, nagrodami, preferencjami wydawniczymi, posadami itd.

Ta taktyka oczywiście spowodowała podział w środowisku literackim. Od nielicznych przykładów całkowitego odrzucenia tych ofert, przez całą gamę form partycypacji w tej grze nierównych szans (politycznym regulatorem kontaktu pisarza z czytelnikiem, czyli jego zawodowego istnienia była cenzura), aż po role ściśle polityczne, na szczęście także nielicznej grupy. Pisarz miał więc wolność wyboru, ale tylko w zakresie ewentualnej partycypacji w tym systemie kokieteryjno–perswazyjnym, natomiast nie miał wyboru stopnia negacji tego stanu, bowiem każda krytyka systemu była eliminowana zapisami cenzorskimi nie tylko na konkretną publikację, czy książkę, ale nawet na nazwisko autora. Wypracowany został cały system reglamentacji publicznego istnienia pisarza: od zapisów na wysokość nakładów, przez zezwolenia na publikacje w pismach niskonakładowych, wydłużanie okresu wydawania książki, posługiwanie się reglamentacją papieru dla celów ograniczeń wydawniczych (przy jednoczesnych wielkich nakładach dla celów propagandowych) itd.

Niewydolność systemu co pewien czas powodowała trudności materialne, i w ślad za tym także napięcia społeczne. Wywoływała też walki wewnętrzne poszczególnych frakcji o władzę w obrębie monopartii, wreszcie zmiany w kremlowskiej „centrali” – powodowały co pewien czas zmianę kursu politycznego. To powodowało zmianę argumentacji propagandowej. Powodowało to m.in. zmiany form oddziaływania, a w konsekwencji i rodzaj zapisów cenzorskich. Wśród pisarzy tej części Europy wypracowano specjalną *mowę ezopową*, a wśród czytelników wykształciła się specyficzna umiejętność czytania między wierszami. Zabiegi te z jednej strony zmierzały do stworzenia kodu porozumiewania się pisarza z czytelnikiem, poza cenzurą, jednak i ten kod był kontrolowany przez cenzurę.

W ten sposób powstała społeczna funkcja części literatury jako papierka lakmusowego intencji politycznych namiestniczej władzy wobec społeczeństwa. Literatura stawała się coraz bardziej popularna, nie tylko ze względu na swoją wartość intelektualno-artystyczną, lecz także jako polityczna mapa pogody, informująca o kolejnych odwilżach politycznych, lub przeciwnie. Funkcja polityczna była wyraźnie widoczna zwłaszcza w czasie, kiedy w środowisku literackim powstawały kolejne formy oporu, które inspirowały inne środowiska, np.

kolejne listy protestacyjne, czy marcowa kontestacja przeciwko dyktaturze ciemniaków, lub poparcie dla Komitetu Obrony Robotników, po buncie radomskim czy później Uniwersytetów Latających itd.

Erozja systemu stawała się tym bardziej widoczna, im bardziej zawodziły próby ograniczeń wolności słowa. Represje wobec niepokornych autorów natychmiast powodowały gwałtowny wzrost ich popularności dzięki sprawnie działającej rozgłośni *Radia Wolna Europa*, a próby ograniczeń publikacji krytycznych wobec systemu politycznego wracały rykoszetem do kraju w postaci wydawnictw paryskiej „Kultury” ze stemplem specjalnego znaczenia *książek zakazanych*.

Próby ratowania systemu zakupami nowych technologii za pieniądze pożyczone od konkurentów politycznych z Zachodu, przez ekipę władzy namiestniczej w Polsce, zbiegły się z aktem szczególnego zadufania władców Kremla, którzy zdecydowali się przyjąć amerykańskie wyzwanie wyścigu zbrojeń. Ta gra miała swoje poważne konsekwencje nie tylko pod względem militarnym. Przede wszystkim okazała się lekcją ekonomii politycznej. Nie przeskodziła specjalnie Ameryce (niektórzy twierdzą nawet, że nakręciła koniunkturę gospodarczą), a jednocześnie ujawniła niewydolność gospodarczą systemu świetlanej przyszłości. Decydujące jednak znaczenie miała oferta dyskretnej pomocy za cenę respektowania praw człowieka na Wschodzie, oczywiście opakowana w partnerskie formy traktatowe KBWE, dzięki koncepcji politycznej Zbigniewa Brzezińskiego, zrealizowanej przez prezydenta Cartera.

Wschód przyzwyczajony do bizantyjskiego stylu uprawiania polityki – gdzie rozstrzygającego znaczenia nie miały tradycje umowy społecznej, lecz argument w postaci sotni kozaków – podpisał bez oporów umowę KBWE licząc na profity. To szczególne poczucie humoru seniora rezydującego na Kremlu, przyzwyczajonego do politycznego ogrywania Zachodu nie tylko w Jałcie, stawało się jednak mniej zabawne dla wasala w Warszawie, któremu wyznaczano rolę pośrednika w tym transferze. Bunt robotników Radomia stał się sygnałem ostrzegawczym. Utrzymanie władzy stało się coraz bardziej kosztowne i oznaczało kolejne kredyty. Zachód zaczął je mniej ochoczo dawać, stawiając bezwzględnie jeden podstawowy warunek – respektowanie praw człowieka, zgodnie z podpisanym traktatem.

W ten oto sposób powstały warunki przyśpieszonej erozji systemu, i szczególnej roli środowisk opozycyjnych, w tym także literackiego, pozostających pod parasolem KBWE. Dysydentów oczywiście prześladowano, ale każdy akt agresji władzy był natychmiast podawany do wiadomości opinii publicznej przez alternatywne rozgłoszenie i powstającą z czasem prasę podziemną. Władze nie mogły sobie pozwolić na dłuższe represje, bo podważałoby to opinię wiarygodnego kredytobiorcy, nie tyle ekonomicznie, ile politycznie (pod względem przestrzegania praw człowieka) wobec Zachodu. Równocześnie musiały reagować, aby być wiarygodnym wasalem Wschodu, który potrafi dbać o lojalność. W ten sposób ograniczone możliwości represji, ale jednak ciągle ponawianej, stworzyły nowe uwarunkowania, także i dla literatury.

W tej walce powoli zacierała się granica pomiędzy rolą pisarza jako autora, a znaczeniem pisarza jako osoby publicznej w funkcji niezależnego polityka wyrażającego społeczne aspiracje.

To tworzyło pokusę łatwej popularności, której nie wszyscy umieli się oprzeć. Wystarczył właściwy, oczekiwany sygnał – i była już zapewniona nagroda w postaci sympatii odbiorcy nawykłego do czytania między wierszami znaków politycznych zawartych w wypowiedzi literackiej. Kosztem tego porozumienia była jednak zmiana funkcji literatury: powoli stawała się środkiem walki, instrumentem propagandowym. Pod tym względem socrealizm i liryka tyrtejska stanu wojennego spotykają się, choć motywacje i postawy polityczne są zasadniczo odmienne. Socrealizm był rezultatem nakazu – tu świadomy wybór; tam najemnictwo polityczne w imię cudzych interesów – tu reprezentacja aspiracji społecznych własnego narodu, tam konformizm – tu odwaga i ryzyko, itd. Jednak tu i tam następuje w różnym zakresie re-

dukcja literatury do jej funkcji instrumentalnej, kosztem jej artystycznej swoistości, bezinteresownej ekspresji niezależnej reakcji artysty wobec otaczającego świata.

Ocena tego fenomenu, wbrew pozorom, nie jest prosta, bo cóż znaczy heteronomizacja literatury wobec tak poważnego problemu, jak dążenie do wolności, do niepodległości własnego państwa? Jednak z perspektywy długiego trwania można też postawić pytanie: czy można utrzymać suwerenność i wolność bez autonomii kultury?

Apostata i liberal

Niepodległościowe dążenia w okresie PRL-u miały bardzo konkretną alternatywę w postaci żyjących w pamięci wzorów zachowań i form państwowości z czasu II Rzeczypospolitej. Marzenia, jako ciała lotne, mają to do siebie, że im wyższa staje się temperatura uczuciowa – tym bardziej stają się gorącym, wszechogarniającym bezkształtem.

Do odzyskania niepodległości w roku 1989 byliśmy bardziej nieprzygotowani, aniżeli w roku 1918, ale jednocześnie mieliśmy to właśnie gorące, amorficzne marzenie jako wzór, w formie zmitologizowanej. Konsekwencją tego stanu uczuciowego była rekonstrukcja niektórych instytucji z czasu II Rzeczypospolitej, także i w dziedzinie kultury. Życie literackie lat dziewięćdziesiątych stało się powtórką, w wielu przypadkach, przedwojennej mapy, nie tylko literackiej, np. bardzo szybko nastąpiła deglomeracja życia literackiego w Polsce. W kilku regionach powstały nowe, poważne pisma literackie, a wokół nich skupiły się grupy interesujących twórców. Za wcześnie jeszcze zapewne na ocenę jakościową, mianowicie: czy te grupki będą mieć znaczenie jakościowe porównywalne do konstruktywizmu krakowskiej Zwrotnicy, do wpływu wileńskich Żagarów, ekspresjonizmu poznańskiego Zdroju czy choćby autentyzmu ostrzeszowskiej Okolicy Poetów. Na pewno jednak fakt deglomeracji jest czymś analogicznym, podobnie jak i dyskusje nad potrzebą utrzymywania ministerstwa kultury, restytucji Akademii Umiejętności, Akademii Literatury itd.

Podobnym nawiązaniom instytucjonalnym do okresu II Rzeczypospolitej towarzyszy jednak szczególny stan świadomości, rodzaj wpływów systemu totalitarnego, jego produkt mentalny w postaci *homo sovieticus*.

Pojawia się zrozumiała konieczność rozliczenia się z własnym doświadczeniem tego okresu. Ta przeszłość staje się doświadczeniem wstydlivym, bowiem wszyscy partycypowaliśmy w tym systemie, choć w różnym zakresie i stopniu. Im większa wrażliwość i skłonność do autoanalizy – tym intensywniej ta kwestia przeżywana jest w milczeniu jako wewnętrzny problem. Łatwiej rozliczyć się tym, którzy byli na zewnątrz, w roli mniej lub bardziej biernych kibiców. Jest jednak spora grupa, np. pisarzy skupionych niegdyś wokół *Kuźnicy*, którzy przeszli zasadniczą metamorfozę polityczną: od gorących apologetów systemu, do jego najzagorzalszych krytyków. Dokonali więc swoistej zmiany wiary. Dla nich dzisiejsza rzeczywistość jest zbieżna z dokonanymi wcześniej zmianami wiary, ale uczestnictwo w tej rzeczywistości, zwłaszcza dla osobowości wrażliwych nie może się obejść bez refleksji o dawnym doświadczeniu i uczestnictwie w innej „religii” politycznej. Na świat dzisiejszy patrzą z aprobatą, wielu z nich odegrało doniosłą rolę w obalaniu dawnego porządku, jednak oglądaniu tych dzisiejszych zmian towarzyszy świadomość dawnego uczestnictwa w zupełnie odmiennej wierze, już przelamanej, ale świadomość tej zmiany – pozostała. *Wkraczamy w XXI wiek zadając sobie pytanie, co przetrwa z tożsamości narodowej w każdym z naszych krajów. Niegdyś sowieckie imperium zapowiadało, że będzie tolerować wszędzie kulturę «narodową w formie, socjalistyczną w treści». Czyżby teraz wypadało nam tworzyć «kulturę narodową w formie, kapitalistyczną w treści»? I co może znaczyć taka formuła? – pyta Czesław Miłosz we wspomnianym paryskim odczycie. W ten sposób pojawia się **syndrom apostaty**.*

Apostata – to człowiek, który nawet po zmianie wiary, nie żyje przede wszystkim jej treścią pozytywną i nie dąży do realizacji właściwych jej celów, lecz walczy jedynie z daną wiarą i żyje po to, by ją negować.

Nie zaakceptował on nowych treści ze względu na same treści, lecz spełnia tylko długi ciąg aktów zemsty na własnej przeszłości duchowej, która faktycznie trzyma go nadal w niewoli, a nowe przekonania funkcjonują wobec niej jako potencjalny układ odniesienia, pozwalający mu odrzucić i negować przekonania dawne – pisze Max Scheler (*Resentyment a moralność*, Warszawa, 1977, s. 64–67). Ten nieustanny dialog wewnętrzny z przeszłością, dla przezwyciężenia poprzedniej wiary jest główną siłą energetyczną działania i stosunku do współczesnej rzeczywistości. Powstaje więc szczególna pustka wypełniona kompensacjami. I nie jest to tylko problem literacki. To doświadczenie jest udziałem pierwszego garnituru wielu dzisiejszych, czynnych polityków. Syndrom apostaty przenosi się tym samym wprost na życia polityczne, rodzaj zmian ustrojowych. To właśnie z tej świadomości wywodzi się szczególna pustka pomiędzy normą ustrojową państwa demokratycznego (przejęta zarówno z tradycji własnej II Rzeczypospolitej, jak i z doświadczeń współczesnych krajów demokratycznych Zachodu), a *praxis* życia politycznego w niepodległej III Rzeczypospolitej. Obserwujemy tu znamienne dysproporcje pomiędzy rolą mitu politycznego (nawiązania do II Rzeczypospolitej), jako idei kierunkowej, a brakiem wyraźnie pragmatycznego myślenia w budowaniu współczesnego państwa, stosowaniu współczesnych norm ustrojowych. Jeśli nawet tzw. kontrakt z Magdalenki uznać za cenę bezkrwawej zmiany ustroju – to już kolejne połowiczne i kompromisowe rozwiązania ustrojowe nasycone są tą właśnie psychologiczną motywacją stymulowaną syndromem apostaty. To słychać w wielu debatach politycznych, a najwyraźniej widać w wielu przejawach życia literackiego, w konkretnych zachowaniach.

Józef Tischner w swojej *Etyce Solidarności* stawia tezę, że genezą tego ruchu, który w ostatecznej konsekwencji przyczynił się do zmiany systemu, była podeptana godność człowieka. Ale *godność jest czymś immanentnie niepodzielnym: albo uznajesz moją godność, albo nie uznajesz* – twierdzi Francis Fukuyama w *Ostatnim człowieku. Tylko szukając „sprawiedliwości” „thymos” jest zdolne do prawdziwego fanatyzmu, obsesji i nienawiści*. W konsekwencji takiej absolutyzacji pojęcia godności możliwe są groźne następstwa, nie wykluczając przemocy, a nawet wojen. Aby zapobiec tej groźnej możliwości, stworzona została alternatywa w postaci liberalnej tolerancji. Ta idea została ochoczo przyjęta w Polsce po roku 1989 z dwóch co najmniej powodów. Pierwszy – to alternatywa wobec wspomnianej możliwości, dodatkowo jeszcze wsparta propagandą potencjalnego zagrożenia nacjonalizmami narodów wyzwolonych spod dominacji sowieckiej. Drugim powodem bezkrytycznej afirmacji liberalizmu była konsekwencja postrzegania go jako przeciwieństwa totalitarnego zniewolenia. Liberalizm w tym historycznym kontekście był niekwestionowanym dobrem.

Liberalizm stał się więc wyznacznikiem politycznym tej pustej przestrzeni wywołanej syndromem apostaty (supremacja wolności nobilitowała zarówno dysydentów, społeczników *Solidarności*, jak również dawała dowody zmiany postawy byłych działaczy partii komunistycznej, którzy zmienili poglądy z powodów koniunkturalnych lub wewnętrznych przekonań).

Na te zmiany w Polsce po roku 1989 nałożył się styl uniwersalny – postmodernizm, dla którego liberalizm stał się podstawą. I to nie tylko dla postmodernizmu definiowanego, np. przez J.F. Lyotarda, jako wyprawa bez reguł w poszukiwaniu reguł, ale także i dla szerszego ruchu jakim jest New Age. Bożena Stokłosa w konkluzji analizy tego ruchu pisze: Można wręcz uważać, że (...) ustrój liberalno-demokratyczny jest dla ruchu New Age najbardziej odpowiedni (...).

Polskie aspiracje powrotu do rodziny krajów europejskich po wyjściu tego ponoć najwelszego baraku z obozu socjalistycznego wyrażane przez decydującą większość społeczeń-

stwa tym bardziej pozwalały pomijać kłopotliwe pytania, na przykład takie: czy istnieją granice lub rodzaje liberalizmu?

Z punktu widzenia nie tylko polskich przemian, ale – jak się wydaje, wielu krajów środkowoeuropejskich – ważne jest zasadnicze spostrzeżenie Jacka Kurczewskiego: *Są dwa liberalizmy, których pomylenie daje o sobie znać w retoryce politycznej. W jednym obywatel to niezależna i samorządna jednostka: należy ją pozostawić w spokoju, uwolnić od rozmaitych nacisków, by mogła racjonalnie podejmować decyzje, zgodnie ze swoimi indywidualnymi preferencjami. (...) Drugi liberalizm troszczy się o wolność jednostki, sprzyjając systemowi odpowiednio równoważących się nacisków całej sieci rozmaitych instytucji społecznych, wzajemnie uzależnionych i kontrolujących zakres swoich wpływów.*

W naszych uwarunkowaniach po roku 1989 – jak wiadomo – następował rozpad struktur poprzedniego systemu i powoli powstawały nowe struktury państwa. Głód wolności osobistej, a także wspomniane powody wynikające z syndromu apostaty, przede wszystkim kierowały recepcją w stronę liberalizmu indywidualistycznego. Zresztą ta druga, społeczna forma liberalizmu nie mogła być przyjęta, bo warunkiem jej funkcjonowania jest istnienie całej sieci stabilnych, wzajemnie powiązanych instytucji społecznych, których w Polsce w okresie rozpadu poprzedniego systemu i powstawaniu nowego demokratycznego ładu – zwyczajnie być nie mogło.

W tej sytuacji recepcja liberalizmu indywidualistycznego, a także ufundowanych na tej koncepcji politycznej zarówno mitologii New Age, jak i postmodernizmu jako stylu – wspierały istniejący chaos. Czy ten chaos był czymś bezinteresownym?

Syndrom apostaty był oczywiście problemem ludzi wrażliwych i refleksyjnych. I w tych przypadkach z pewnością był zjawiskiem bezinteresownym. Natomiast innego rodzaju ludzie, budowali swoje fortuny wykorzystując istniejący chaos w sensie tak materialnym, jak i budowania wpływów w państwie. I nieszczerne granice, i system bankowy pozostający w rękach byłej nomenklatury namiestniczej władzy, znakomicie ułatwiały powstawanie nowej klasy właścicieli. W ten sposób nastąpiła akomodacja oportunistów: władza czerwonego telefonu została zastąpiona władzą pieniądza zgodnie z tendencją restytucji kapitalizmu.

W ten sposób doszliśmy do szczególnego paradoksu: liberalizm jako symbol wolności w czasach dominacji totalitaryzmu stał się sojusznikiem postkomunizmu. W praktyce oznaczało to ufundowanie wiana w postaci statusu klasy średniej w III Rzeczypospolitej dla dzieci tych, którzy wprowadzali komunizm po wojnie i z całą bezwzględnością likwidowali pozostałe tradycje II Rzeczypospolitej.

Z punktu widzenia nowych uwarunkowań literatury można powiedzieć, że jest to kwestia procesów społecznych na tle znanych wydarzeń politycznych, jakie powstały po roku 1989 i literatura ma z tym niewiele wspólnego. Jest to prawda do pewnego stopnia, czyli półprawda, przede wszystkim dlatego że w tej grze istnieje problem aksjologiczny i to zarówno w płaszczyźnie moralnej, jak i estetycznej.

Z moralnego punktu widzenia obserwacja tych procesów społecznych budzi odruch sprzeciwu, choćby z tego powodu, że niemoralne jest to, iż koszty procesu przemian ponoszą przede wszystkim warstwy upośledzone, zwłaszcza chłopci, a także i robotnicy, w tym wielu takich, którzy czynnie walczyli w Solidarności płacąc konkretną cenę zdrowia, w niektórych przypadkach i życia. Natomiast beneficjentem nowego systemu stała się warstwa byłych funkcjonariuszy namiestniczej władzy obcego mocarstwa lub ich dzieci dobrze przygotowanych do eksploatacji wspomnianego chaosu okresu przejściowego.

Z estetycznego punktu widzenia problemem jest bezkrytyczna akceptacja postmodernizmu, który z pewnością jest ważnym epizodem sztuki współczesnej, jednak w polskich warunkach tego okresu był instrumentem sankcjonującym wspomniany chaos oparty na indywidualistycznej wersji liberalizmu. W naszym życiu literackim nie było żadnej merytorycznej dyskusji, która wskazywałaby na te powiązania i moralną dwuznaczność. Postmodernizm z

jednej strony nobilitował i wspierał liberalizm, z drugiej kompensował „kompleksy prowincji” swoim europejskim uniwersalizmem. Młodzi postmoderniści wystąpili więc w roli równie dwuznacznej jak ich *pryszczaci* rówieśnicy z czasów *Kuźnicy*. Z tą może różnicą, że tamci dość szybko wydorosli choćby *Poematem dla dorosłych* Ważyka, ci natomiast dalej pozostali w swoim szczęśliwym świecie lat dziecińczych.

Postmodernistyczny ciuchland

W *Opcjach* (1, 2000) opublikowano erudycyjny esej młodego badacza o prozie Kurta Vonneguta. Po żmudnych dociekaniach jedyną konkluzją była konstatacja że ten pisarz nie jest postmodernistą. Celem badań było więc ustalenie: jest-ci on postmodernistą czy nie jest. Wynika z tego że ważny jest tu stempel postmodernistyczności (lub jego brak). Pomysł przedni. Jeśli tak dalej pójdzie możemy oczekiwać kolejnych badań pod tym względem, także i tradycji. Na przykład zbadać czy takie utwory jak *Kamizelka* lub *Nasza szkap* – są postmodernistyczne, czy też nie?

W następnej kolejności przebadaj rynek księgarski. Tak mniej więcej jak ludność w kontrolnych badaniach w okresie epidemii.

Każda ustępująca formacja mierzy zwykle swoje wpływy ilością zwolenników, ale rzeczywistą miarą znaczenia jest otwarcie perspektywy wyjściowej na przyszłość. Chodzi w tym przypadku o proste pytanie: jaką perspektywę przyszłościową wyznacza postmodernizm, np. jaką ma wizję społeczeństwa?

Dla wyznawców zwykle wystarcza jedno efektowne hasło, np. *wszystko już było!*, niekiedy jedno słowo: *wyczerpanie*. I już w „tym wszystkim” można dowolnie wybierać jak w sklepie z używaną odzieżą. Taki ciuchland, z akademicką świadomością wzorów i wykrojów formy, wystarczy aby zabawiać się w odcyfrowywanie aluzji, persyflaży, cytatów – słowem tego co tak bardzo pokazuje erudycję badacza, daje prawie nieograniczone możliwości interpretacji.

W ten sposób powstał mechanizm samonapędzający się i komplementarny: młódź głodna pochwał i akademickiej nobilitacji nie tylko krytycznej, ale i „badawczej” zdaje sobie sprawę, że poszukiwanie własnych ścieżek grozi ryzykiem marginalizacji, natomiast pisanie pod oczekiwania akademickich znawców postmodernizmu daje możliwość zainteresowania. Badacze natomiast dobrze wiedzą co lepiej służy produkcji coraz to nowych książek tak przecież nieodzownych do kolejnych awansów. A postmodernizm daje spore możliwości. Nie tylko odłam eklektyczny tej formacji, już dość ograny, ale przede wszystkim ten bardziej elegancki, dandysowski estetyzm, którego możliwości ostatnio wypróbowywał Adam Zagajewski.

Wbrew epitetom podekscytowanych feministek, fanek tej formacji, które używają „oświeceniowego determinizmu” jako najcięższej maczugi w swej walce o cokolwiek – pytanie o sens postmodernizmu nie może być inne jak tylko systemowe. Nie ma innej możliwości racjonalizacji, wyjścia z tego wesołego miasteczka w fazie rozkładu. Jedną z takich racjonalizacji możemy prześledzić na przykładzie interpretacji Arthura C. Danto, dla którego historia sztuki sprowadza się do trzech podstawowych epok: mimetycznej ok. 1300–1900), ideologicznej, czyli modernizmu (1880–1965), no i dziś mamy epokę – ma się rozumieć – posthistoryczną.

Epoka mimetyczna – to dążenie twórców, na różne sposoby, do odzwierciedlenia wizerunku świata otaczającego.

Epoka modernistyczna – to czas wpływu czynnika technologicznego (reprodukcja, fotografia, film itd.) które wpływały na zmianę widzenia i zasady percepcji, a przez to rozsadziły od wewnątrz spójną wizję wielowiekowej tradycji mimetyzmu. Danto przypisuje poważne znaczenie interpretacji sztuki tej „epoki” przez Clementa Greenberga, z podkreśleniem tezy że wiedza jest rusztowaniem intelektualnym kreacji artystycznej, czyli umożliwia tworzenie po-

szczególnych konwencji artystycznych. Pod względem filozoficznym Greenberg wyprowadza tradycję modernizmu z filozofii Kanta, a w szczególności z pytania o źródła ludzkiej wiedzy; wszak właśnie wiedza tworzy to wspomniane rusztowanie, czy też kręgosłup kolejnych konwencji sztuki nowoczesnej (w jego terminologii: modernistycznej).

Tu oczywiście można byłoby postawić znak zapytania: czy nie ma sprzeczności pomiędzy przypisywaniem technologii właściwości zmian percepcyjnych (w połączeniu z kantowskim pytaniem o możliwości ludzkiej wiedzy), a inną tezą Kanta o apriorycznych formach poznawczych umysłu, którą to tradycję przedłużyła np. psychologia C.G. Junga, a także częściowo aksjologia Maxa Schelera?

Traktowanie filozofii Kanta – która jak wiadomo jest jednym z nielicznych spójnych systemów – jak talii kart, to nieco sofistyczna gra, ale zostawmy filozoficzne podstawy koncepcji Greenberga, bo nie za własny system filozoficzny „kochamy autora” lecz za intuicję. Istotnie sztuka nowoczesna ma swój element podstawowy w postaci wiedzy – tu spotykamy argumenty nie do odparcia. Sztuka awangardowa nie istniałaby bez gnoseologicznego rusztowania. Tak jak impresjonizm prawdopodobnie nie zaistniałby bez wiedzy fizycznej (rozszerzenie światła), tak kubizm nie miałby swojej poważnej motywacji bez geometrii nieeuklidesowych, czy neoplastycyzm bez koncepcji mistycznych, lub konstruktywizm bez utopii społecznych itd., aż do ekstremalnej werbalizacji konceptualizmu: *Sztuka jako filozofia* (J. Kosuth, 1969). Tu postawiono kropkę nad i tego procesu.

Początek ostatniej epoki, nam współczesnej Danto upatruje w momencie pojawienia się pop-artu, w połowie lat 60. Reakcje były sprzeczne, ale pełne emocji: od ogłoszenia *katastrofy nieodpowiedzialności elit* (N. Gingrich), czy *śmierci poezji* (T. Różewicz), po wyprowadzanie wniosków przeciwnych: *każdy jest artystą* (J. Beuys), *wszystko jest sztuką* (B. Yautier), czy w Polsce – *wszystko jest poezją* (E. Stachura).

Pop-art., jako punkt graniczny, z charakterystycznym odcieniem znaczenia jego prekursorów (Duchamp, Schwitters), w interpretacji A. C. Danto, miał na celu zaznaczenie, że nie chodzi o jakiś proces wewnątrz-artystyczny, w rodzaju wolfflinowskiej wizji ewolucji sztuki, lecz o wykazanie że chodzi o nowe reguły istnienia sztuki. O zaakcentowanie końca determinizmu intelektualnego w sztuce (obojętnie czy byłaby to filozofia, wiedza szczegółowa czy jakieś utopie). Pop-art miał zademonstrować pewien rodzaj woluntaryzmu skierowanego na ekspresję wolności.

Wydaje się jednak że pominięto tu zastanawiający epizod odnotowany przez historię sztuki, jaki miał miejsce przed eksplozją pop-artu. Chodzi o znany „skandal” w jednej ze znanych galerii, 28 letniego Roberta Rauschenberga w postaci wytarcia gumką rysunku, wówczas 49 letniego i uznanego artysty De Kooninga z charakterystycznym podpisem: *Wytarty rysunek De Kooninga. Robert Rauschenberg 1953*. Celebracja i sygnowanie tego ikonoklastycznego gestu nie było zwykłym wybrykiem, lecz miało znaczenie demonstracji nowej postawy wobec statusu dzieła sztuki, a ściślej biorąc – intuicyjne wyczucie nowej sytuacji sztuki w nadchodzących uwarunkowaniach.

Fakt ten interpretowano głównie w kontekście zderzenia cywilizacyjnego śmietnika z ezoteryczną filozofią Zen, porównywano w planie artystycznym z duchampowskim gestem domalowania wąsów *Giocondzie*. Uszedł uwadze – moim zdaniem – aspekt podstawowy tego gestu, mianowicie zademonstrowany fakt że dzieło jako unikatowy efekt projekcji artysty w rezultacie mechanicznego wytarcia...też jest sztuką. To nie było tylko banalne powtórzenie gestu Duchampa w postaci mianowania standardowego przedmiotu dziełem sztuki (*muszla*), lub gest zniszczenia wizerunku (*Gioconda*) – tu demonstrowano skrajny indywidualizm; natomiast w geście Rauschenberga było zawarte także i nowe, zupełnie odmienne przesłanie, mianowicie możliwość przekształcenia dzieła sztuki przez anonimowe mechanizmy (wytarcie dotychczasowych znaczeń).

Puszki zupy *Campbells* czy kartony z proszkami *Brillo* – Andy Warhola demonstrowane później jako dzieła sztuki w obrębie nowej możliwości (*wszystko jest sztuką*) akcentowały tradycję Duchampowską, oczywiście z uzupełnieniem ironicznego stosunku wobec mitów konsumpcyjnych.

W profetycznym geście Rauschenberga zawarty był przekaz mniej optymistyczny, ten mianowicie że zbliżają się anonimowe mechanizmy wpływające na zmiany społecznego statusu dzieła sztuki. Rękę Rauschenberga w akcie wygumowywania niepowtarzalnego autentyzmu drgnienia ręki konkretnego artysty (De Kooninga), wkrótce zastąpią nowe techniki reprodukcji i anonimowe, potężne mechanizmy reklamy, bez skrupułów wykorzystujące ikonosferę sztuki w celach komercyjnych. Także dzieło sztuki staje się towarem. Ten świat interpretowała sztuka pop-artu, próbowały unicestwić jego materialność, a więc i komercyjność, następne kierunki (performance, happening, konceptualizm). To była destrukcyjna strategia sztuki: zniszczyć nośnik (materialny status dzieła sztuki). Jej skuteczność była chwilowa i kres tej strategii sztuki wyznaczyła technologia, a ściślej biorąc nowe techniki przekazu.

Powrót do pikturalizmu w latach osiemdziesiątych miał charakter demonstracji indywidualizmu w wersji neoekspresjonistycznej, potem *nowi dzicy* dorzucili ironię, prymitywizm, magię, ale niczego to nie zmieniało, poza gestami, projekcjami, w samej istocie podstawowego konfliktu.

Technologia powołując do istnienia rzeczywistość wirtualną (internet) przejęła te same metody którymi usiłowała walczyć sztuka niepikturalna (konceptualizm itd.), ale oczywiście z wykorzystaniem do swoich celów, w tym także i komercyjnych (reklama, handel, informacja itd.).

Sztuka lat 80. przegrała więc swoją próbę – pozostało cofnięcie się wstecz: gra konwencjami, historią form artystycznych – słowem świadomością kultury artystycznej. Tego akurat technologia nie potrafi, a prawdę mówiąc nie mieści się to w strategii biznesu i manipulacji. Sztuka postmodernizmu ocaliła swoją niezależność, ale było to pyrrusowe zwycięstwo, bowiem cofając się w świat wiedzy o sztuce i możliwościach eklektycznej gry konwencjami artystycznymi utraciła istotny kontakt z rzeczywistością społeczną, możliwość oddziaływania na nią.

Layotardowska *wyprawa bez reguł w poszukiwaniu reguł* skończyła się fiaskiem, a część załogi tej wyprawy zdezerterowała w stronę mitologizacji nowych technik komunikacyjnych, rzeczywistości wirtualnej, w końcu – łatwej mitologizacji globalizmu jako nieuniknionej konieczności.

Do pewnego momentu można było się żywić się ideą „wyczerpania” i na tej motywacji eksploatować repertuar znanych form, bo „wszystko już było”. To uzasadniało eklektyzm i persyflaż – tak ulubione gry erudyty, w konsekwencji tego stał się faworytem ortodoksyjnego akademizmu.

W założeniach postmodernizmu były postulaty bardzo atrakcyjne takie jak wolność i spontaniczność. Gorzej z realizacjami. Sztuka – zdaniem Danto – powinna zawierać przynajmniej dwa cele: musi być o czymś i jakoś to przejawiać.

To pierwsze: o czymś – ilustruje przykładem bajki, gdzie opowiada się historię bohaterów, aby zakończyć opowieść formułą *i dalej żyli szczęśliwie*. Istotą nie jest fabuła (narracja), ale właśnie to co jest po narracji (*żyli szczęśliwie*). To właśnie spontaniczne przeżycie (w przeciwieństwie do modernistycznego intelektualizmu awangardy), właśnie powinno być treścią sztuki postmodernistycznej.

Postulat spontanicznego przeżycia powinien mieć zmysłową formę (w przeciwieństwie do modernizmu, który miał zaplecze w postaci wiedzy, a więc konstrukcji intelektualnej). Zestaw pojęć: idea (wolności) i przeżycie (w zmysłowej formie) – oto istota postmodernistycznego uogólnienia.

Postmodernizm... posthistoria... hasła sygnalizujące nową epokę – brzmi to atrakcyjnie i sugeruje opis nowej sytuacji, a przynajmniej nową reakcję wobec zastanego świata. Jednak ten podstawowy zestaw pojęć estetycznych A.C. Danto pożyczył sobie od Hegla. I nie jest to ostatnie zapożyczenie. Zmierając do zaprezentowania wizji społeczeństwa z tej właśnie perspektywy widzi ciąg dalszy *posthistorii* w sartr'owskiej nie urzeczowionej egzystencji, oraz w utopii marksowskiej, ni mniej ni więcej tylko ...komunizmu.

Ot siurpryza: nowe wraca!

Ten niedzielny socjalizm można zrozumieć jako perwersję intelektualną u tych ludzi Zachodu, którzy komunizm znają ze słyszenia, ale my przecież mieliśmy to pół wieku na co dzień. Jeśli nie widać wniosków, to zapewne dlatego że fascynacja ciuchlandem mniej męczy od samodzielnego myślenia.

Intelektualny rozbiór Polski

Syndrom apostaty i mityczne wyobrażenie suwerennego państwa z jednej strony a liberalna retoryka polityczna podbudowywana postmodernizmem spowodowały, że przerabialiśmy powtórkę także i w sposobie traktowania kultury. Po krótkiej i raczej zniechęcającej partycypacji przedstawicieli środowisk twórczych we władzach odrodzonego państwa wrócił kalambur *od polityki to ja mam Piłsudskiego*. Problem w tym, że tym razem zamiast Piłsudskiego był Wałęsa.

W radosnych procesach prywatyzacji sprzedano wszystkie najbardziej dochodowe gazety i zapewne nie jest przypadkiem że były to gazety północnej i zachodniej części kraju. Teraz znajdują się w jednym ręku niemieckiego właściciela akurat na terytorium, które przed wojną leżało w granicach Niemiec.

Na rozproszoną dystrybucję książek (zupełnie nieskoordynowanego rynku) nakłada się wejście wielkich koncernów wyspecjalizowanych w sprzedaży wysyłkowej. Preferencyjne ceny, duży kapitał na cele promocyjne – to wystarczy, aby po pewnym czasie, zapewne już niedługo, powstał sprawny system produkcji i dystrybucji książek wraz z eliminacją bogatego rynku krajowych wydawców i dystrybutorów. Oczywiście zwolennicy kontrolowanego chaosu mają wiele uznania dla tego procesu, jednak książka, a zwłaszcza prasa, nawet kolorowa, podobnie jak i media – to nie jest zwykły towar. Ten towar kształtuje świadomość, nie tylko w kwestiach ogólnych, ale także i steruje zachowaniami i sympatiami w decydujących momentach. Można oczywiście z poczuciem wyższości spoglądać na tę gumę do żucia dla oczu, ale tylko wówczas gdy nie zauważa się, że poza względami komercyjnymi, w decydujących momentach politycznych, czyli np. wyborów – ta prasa ma swoje preferencje polityczne, swoich faworytów i steruje emocjami wyborczymi wielkich rzesz nie najbardziej krytycznej klienteli. W ten sposób dochodzimy do współczesnej wersji elektronicznego *liberum veto*. Różnice jedynie w tym, że wówczas wystarczyła sakiewka ambasadora obcego mocarstwa – teraz kapitał zastosowany do sterowania głosami i sympatiami społecznymi za pośrednictwem zawłaszczonych środków przekazu na wszystkich poziomach: od książki po prasę kolorową

Nowe uwarunkowania literatury dziś – to strategia **rozproszenia autorytetu** (nie tylko) **środowiska literackiego**, realizowana na kilku poziomach równocześnie:

– przez obecność wielkich międzynarodowych koncernów wydawniczych z bezpośrednią dystrybucją (ponad 50% rynku) – mamy akcję minimalizacji znaczenia kultury wysokiej, czyli także i literatury artystycznej;

– przez bierność wobec procesów likwidatorskich dotychczasowych, publicznych środków upowszechniania kultury wysokiej, w tym także i literatury;

– przez ograniczanie państwowego mecenatu i przy równoczesnym rozwoju fundacji środowisko literackie staje się klientelą tychże fundacji, a tym samym, chcąc nie chcąc, staje się reprezentantem interesów ich właścicieli, co jest rodzajem uzależnienia, w sposób niezwykle

dyskretny, (bo nie ma tu przecież cenzury, ale zawsze możliwy jest brak zainteresowania wydawcy np. odrzucenie przez koncern Bertelsmana książki prof. Jadwigi Staniszkis o przyczynach uzależniania Polski).

Środowisko literackie i nie tylko, korzysta z tych fundacji, kręgów wydawniczych, dystrybucyjnych. Jednolitość niezależnego środowiska literackiego teraz została poddana rozbiorowi: podzielilo się na stosowne kręgi opiniotwórcze związane z dużymi gazetami, fundacjami, wydawnictwami i systemami dystrybucyjnymi.

Wiedeński karnawał na koniec wieku

Na długo przed końcem 1999 roku ogłaszano koniec wieku. Mitologizowano na różne sposoby analogię do końca ubiegłego wieku z powołaniem do służby czynnej dekadentyzmu – włącznie. Dla równowagi – ogłoszono stan wyjątkowy emocji: tzw. pluskwę komputerową, szacowaną – już w nowym roku – na około miliard dolarów zysku dla firm informatycznych.

Końcówka drugiego milenium niewiele się różniła od końcówki pierwszego, mimo dość zasadniczej różnicy w technologii pomiędzy rakieta balistyczną a kuszą. Tak samo jak wtedy, skłóconych polityków połączył zabobonny strach (przyjazd Ottona III do Gniezna).

Zadeklarowany koniec wieku wraz z jego dekadencją też miał swoją specyfikę, w interpretacji naszego życia kulturalnego, np. dla Jana Zielińskiego Juliusz Słowacki jest interesujący nie dlatego że był nietuzinkowym poetą, by nie nadużywać wielkich słów lecz dlatego że – jego zdaniem – był *opiumistą, pederastą pedofilem i ojcem*. W telewizji prowadzono bardzo interesujący serial *Rozmów na koniec wieku* z wybitnymi przedstawicielami humanistyki, nierzadko autorytetami. Rozmowy te utrwalono w druku pod wspólnym tytułem, mimo że nie wszystkie, a nawet pewnie większość nie dotyczyła dekadencji *końca wieku*. Jednak te, nierzadko wybitne osobistości, wpisywały się w ten cykl bez szemrania, a tym samym swoim autorytetem utwierdzały przekonanie, że istotnie jest koniec wieku i mamy sytuację wyjątkową, w domyśle: analogiczną. W ten sposób wymyślona teza została usankcjonowana autorytetami i wprowadzona do obiegu społecznego. To zaledwie ułamek zabaw intelektualnych w koniec wieku, zabaw, które już kiedyś opisał wyraźną kreską Fiodor Dostojewski w *Braciach Karamazow*. Warto dodać, że była to epoka innych środków przekazu. Teraz takie ćwiczebne zabawy intelektualne prowadzone pomiędzy nihilizmem dekadencji a sprytnym pragmatyzmem znacznie szybciej zyskują widownię. Stąd też i szybciej pojawiają się przerażająco realne produkty tej karamazowszczyzny, nie tylko polskiej, ale i europejskiej, gdzie zabawa w postmodernizm i New Age ma szerszą perspektywę intelektualną i poważniejsze konsekwencje aniżeli sensacje co do ojcostwa Juliusza Słowackiego.

Na tle tej gry wyobraźni, eklektyzmu stylu, zabawnych pytań o koniec historii, lekkiego flirtu z tradycją wiedeńskiego *fin de siècle'u*, w tym samym Wiedniu pojawia się bachtinowska maska tego upojnego karnawału – Haider.

Liberalna Europa na widok Haidera, przecież legalnie i w sposób demokratyczny (bez ekscesów z łamaniem praw człowieka) przejmującego władzę w Austrii – zwyczajnie zgłupiała. Zareagowano tradycyjnym repertuarem gestów politycznych, ale przecież Haider nie naruszył żadnych norm demokracji! Reagować ostro, czy powściągliwie? Zdusić w zarodku, czy oswajać? Jak to możliwe, żeby ze zdrowego, liberalnego i postmodernistycznego jajka wylęgło się takie brązowe pisklę?

Ta reakcja świadczy o kontraście pomiędzy dobrym samopoczuciem i wierze we własne możliwości a realiami życia społecznego. Nie zauważono, że te realia są nieco inne od wirtualnych światów i fascynacji modnymi konceptami postmodernizmu, zwłaszcza w premodernistycznej Europie Środkowej.

Elitę intelektualną, przede wszystkim humanistów, uwiodły możliwości postmodernizmu. Na dzisiejszych uniwersytetach, przynajmniej w Polsce i zapewne nie tylko, postmodernizm

stał się zwyczajnie modą. Świat dzieli się na postmodernistów, w znaczeniu – współczesnych, dobrze poinformowanych, wtajemniczonych i gorszą resztę. Tak tworzy się licytację o cechach jakościowego podziału wobec młodej inteligencji, a rzecz ma dość trywialne podłoże wynikające ze specyfiki zawodu pracowników nauki (nie mylić z uczonymi), gdzie postmodernizm daje niezwykle możliwości demonstrowania erudycji. A nic tak nie robi dobrze, zwłaszcza dla niedowartościowanej części społeczności akademickiej, jak popis tego rodzaju. Nie jest to zapewne jedyna przyczyna, ale ta akurat przy całej swej małostkowości jest poważnym stymulatorem kształtowania postaw, stosunku do świata, pojmowania życia w zbiorowości, nie bez poważnych skutków porównywalnych, na innym planie, z praniem mózgow.

Dla świata biznesu ta akademicka komedia jest częściowo tylko użyteczna, w tym sensie, że nasącza świadomość powszechną mitem o nieuchronności otwarcia na rzecz globalizacji.

Mit globalizacji jest psychologicznym przygotowaniem do utrwalonego przekonania o konieczności i nieuchronności zmian w pożądanym kierunku tj. globalizacji o ułatwienie podporządkowania krajów słabszych ekonomicznie – silniejszym; atutów państwowych – globalnym interesom nominalnie międzynarodowego kapitału. Nominalnie, ponieważ w globalnej cyrkulacji kapitału silne państwa nie rezygnują ze swoich podstawowych interesów i mają wystarczające środki oddziaływania dla ich obrony w przypadku zagrożeń suwerenności gospodarczej, jakże łatwo przekładalnej na polityczną.

Mit nieuchronności globalizacji w dziedzinie ekonomii sprzężony z modą na postmodernizm w humanistyce, zwłaszcza w aspekcie otwartości *na to co przychodzi z zewnątrz*, tworzą układ komplementarny. Ta otwartość ma ułatwić kontrolę nad wybranymi dziedzinami życia publicznego, zwłaszcza w ekonomii. Reszta jest już pochodną tego pierwszego kroku.

Aby zmniejszyć opory, wyeliminować krytycyzm w użytkowej humanistyce i propagandzie, zongluje się zagrożeniem ze strony ksenofobii i nacjonalizmu, natomiast w ekonomii – brakiem alternatywy wobec podporządkowania się globalizacji, mimo że np. w Polsce po roku 1989, nie było najmniejszych przejawów zagrożenia nacjonalizmem. Jeśli pojawiły się tego rodzaju postawy w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, to przecież nie bez wpływu tych mitów i widocznych – dla zbyt wielu – ich użytkowego sensu. Nachalność propagandowa, wmawianie nieuzasadnionych zagrożeń z czasem ożywiła nacjonalistyczne grupki, dalej mało istotne, ale coraz bardziej widoczne. W ten sposób demony budzą ci, którzy werbalnie chcieli je uspić. W ten sposób powstaje nowy powód do walki z ksenofobią i nacjonalizmem, po to aby ogłaszać nową krucjatę otwarcia, dyskursu itd. Mechanizm dość czytelny.

Pogoń za doraźnymi efektami, bez wyobraźni politycznej i uwzględnienia głębszych warunkowań kulturowych prowadzi w końcu do tak spektakularnych zdumień jak w przypadku Haidera.

Czołowy organ polskich liberałów – „Gazeta Wyborcza” wezwała na posterunek swoich intelektualistów, aby postawić diagnozę. W jednym tylko dniu (GW, 5–6 luty, 2000) konsylium w składzie: Paweł Huelle i Ewa Kuryluk stwierdza: winna jest przeszłość! Oczywiście w szczegółach akcenty są rozłożone: *bo i chadecy, i socjaliści pozwolili kiedyś ekszesesmanom rozsiać się w salonach władzy* (Ewa Kuryluk). Natomiast Paweł Huelle –jak przystało na pisarza, ostrożnie sugeruje, że *polityczny, kulturalny, społeczny i filozoficzny klimat Wiednia z początku XX wieku wpłynął na młodego Hitlera i ukształtował jego poglądy*. Po dłuższej ekwilibryście konstatuje:

Lepper, który w Polsce przyznaje się z uśmiechem do pożytku z czytania Goebbelsa, Haider, który w Austrii wzywa do pozbycia się cudzoziemców, Żyrynowski tropiący Żydów w Dumie i na ulicy reprezentują ten sam styl myślenia. Można traktować te współczesne echa ironicznie, bo przecież ani Lepper, ani Haider, ani Żyrynowski nie są wcieleniami Hitlera. Warto jednak zastanowić się nad ostatecznym zdaniem książki Brigitte Hamann: «Wyśmiewane w wiedeńskim fin de siècle'u mętne idee szowinistycznych sekciarzy, powiązane trzydzieści

lat później z władzą polityczną we wstrząsanych kryzysami Niemczech, stały się niebezpieczną amunicją która przyniosła światu nieszczęście».”

Coś zaczyna świtać, ale nie wiadomo czy to z nieśmiałości, czy z powodu miejsca druku – Huelle jednak pozostaje za podwójną gardą bezpiecznych analogii. Wybierzmy jednak słowa-klucze, te klucze włóżmy do naszego, polskiego zamka lat dziewięćdziesiątych. A więc *mętne idee, sekciarze i kryzys*.

Mętne idee – czy nie pasuje to słowo-klucz do polskiego zastosowania liberalizmu w okresie transformacji (*vide*: rozróżnienie Jacka Kurczewskiego), z jego konsekwencjami w postaci uwłaszczania nomenklatury (nie tylko postkomunistycznej), z werbalnym imperatywem tworzenia klasy średniej (import żywności, wyprzedaż rynków zbytu) kosztem pauperyzacji, a w poważnej części doprowadzenia do nędzy polskiej wsi i nie tylko. A tu już jesteśmy blisko drugiego słowa-klucza, któremu na imię *kryzys*. Nie tylko ekonomiczny na wsi, który wynosi przecież coraz wyżej wspomnianego tu Leppera, ale przede wszystkim kryzys zaufania do klasy rządzącej, nie tylko postkomunistycznej. To przecież w ostatnim roku reformy przyniosły także i piramidę pazernej biurokracji, której trzeba było arbitralnymi decyzjami parlamentu temperować zachłanność. Wreszcie partyjniactwo, które w wielu przypadkach dominuje nad interesem państwa – czyż nie jest politycznym sekciarstwem?

Są też i inne przejawy sekciarstwa, jak na przykład popieranie wszelkich sekt, także i *stricte* religijnych, tylko po to, aby osłabić dominującą pozycję Kościoła katolickiego. Pomijając już aspekty czysto religijne – tego Kościoła, który jednak nie zawiódł nie tylko w czasach zaborów, ale też ma swój poważny udział w odzyskaniu niepodległości już właśnie w końcu XX wieku.

Teraz, kiedy już Kościół wykonał swoją pracę niepodległościową – nagle stał się obiektem liberalnych ataków w imię – ponoć zagrożonej wolności i tolerancji. To właśnie na tej fali odbywa się promocja New Age, postmodernizmu, mitologii końca wieku, sekt Wschodu w podniszczonym opakowaniu kontrkultury. Przy okazji nie zauważa się, że tolerancja traci swój sens, kiedy nabiera instrumentalnych cech środka w walce.

Gdzie zatem są te dzisiejsze zagrożenia i kto je generuje realizując swoje krótkowzroczne interesy, polityczne, ekonomiczne, a także niewielkich grup nowych „właścicieli” RP? Czy nie to samo środowisko, które piórem swego dyżurnego felietonisty stara się wskazać starym zwyczajem – kolega kelner? Demonizowanie Leppera – to groteskowy zabieg. Ten kieszonkowy demon byłby co najwyżej powiatowym demagogiem, gdyby nie świadoma polityka, która doprowadza do rozpaczliwych miliony bezradnych ludzi. Oni nie mają już żadnej alternatywy na zmianę swojej nędzy jak tylko radykalizm Leppera. Lansuje się tezę – nie pozbawioną słuszności – że kluczem do integracji europejskiej i godnego miejsca jest oświata, ale młodzieży wiejskiej jest dziś na polskich uczelniach mniej aniżeli w XV wieku – jeden procent! Możliwości uzyskania średniego wykształcenia ma 15 procent. Czy ten stan nie wpływa na podatność na demagogię? Czy to nie dociera do – ponoć oświeconych – liberałów?

Pauperyzacja, odcięcie od możliwości wykształcenia, blokada ekonomiczna rozwoju gospodarczego – to wtłaczanie wsi w skansen, aby za tę cenę stworzyć cienką warstwę oligarchii – jest w gruncie rzeczy budowaniem społeczeństwa hierarchicznego według bizantyjskiego wzoru, oczywiście przy propagandowym szumie pełnym słów o wolności i demokracji.

Co zatem oznacza takie rozmijanie się słów i czynów? Czy tylko hipokryzję?

Jeśli budowanie hierarchicznego społeczeństwa ma cechy bizantyzmu – to znaczy że cała ta frazeologia liberalizmu ma w tle poprzedni system; jest werbalną polemiką z mentalnymi refleksami tamtej przeszłości, na tyle silnymi że determinują one styl polityki społeczno-gospodarczej.

Wynika z tego że wykreowany wizerunek polskiego liberała w porównaniu do sensu jego polityki jest tylko maską apostaty. Jeśli tak – to należałoby zapytać co oznacza w tym przypadku tak ważne pojęcie liberałów – wolność?

Jaka jest wolność apostaty uwięzionego psychicznie w polemice ze swoją poprzednią „wiarą” polityczną, na tyle że determinuje ona wizję społeczeństwa?

Wolność – to przede wszystkim wolna wola w możliwościach wyboru. Apostata nie ma wolnej woli, bo jest uwięziony psychicznie w swojej polemice z „wiarą” przeszłości. Zatem mamy tu do czynienia nie z wolnością, ale ucieczką od wolności. A społecznym produktem ucieczki od wolności – zdaniem Fromma – jest tworzenie układu sado-masochistycznego.

Czyż pełna pogardy propaganda wobec chłopów w połączeniu z polityką społecznej dyskryminacji tej warstwy – nie jest skutkiem tego syndromu sado-masochistycznego? A ten jest zwykle – jak twierdzi Fromm – wstępem do jakiejś odmiany totalitaryzmu.

Do tej ostateczności zapewne nie dojdzie w perspektywie integracji Polski z Unią Europejską – miejmy nadzieję nieodległej. Ale ten swoisty samozapłon mechanizmu sado-masochistycznego wynikającego z partycypacji w systemie politycznym przeszłości wielu dzisiejszych liberałów przez swoją komplikację psychospołeczną sam tworzy uwarunkowania do kreacji postaw ksenofobiczno-totalitarnych, a następnie ze strachu uruchamia polemikę z własnymi twórcami.

IV. STRATEGIA KULTURY

Solidarność była skazana na klęskę od momentu zwycięstwa. W sensie wertykalnym (podziałów politycznych) zrobił to sam przywódca ruchu – Lech Wałęsa, wypowiadając (także sobie) *wojnę na górze*. W wymiarze horyzontalnym – rozbieżności interesów, postrzegania dobra wspólnego w różnych skalach:

Naród polski wiedział, że walczy z komunizmem. Co do tego byli ze sobą zgodni wszyscy: i robotnik ze stoczni i i młodzi asystenci kolportujący odbite na powielaczu pisma Hayeka. Ale o co? O wolność – padała równie zgodna odpowiedź. Większość jednak nie przyporządkowała temu słowu żadnej dostatecznie określonej i jednolitej treści. Dla jednych wolność oznaczała brak cenzury, dla innych swobodę podróżowania, dla jeszcze innych większą łatwość prowadzenia interesów. Ogólnie przez wolność rozumiano lepsze życie, takie, jakie mają ludzie na Zachodzie, oczywiście raczej ci, którym się żyje lepiej niż gorzej. (...) W dyskursie wolności słowo to zostało przesłonięte, a zarazem przesłonięciu uległo to wszystko, co w pamięci społecznej z nim się wiązało: nędza przeciwstawiona bogactwu, pragnienie zysku przeciwstawione moralności. Odślonięcie się tych treści w praktyce życia podważało na swój sposób wiarygodność wolnościowego dyskursu, co dla części jego twórców i stałych użytkowników było doświadczeniem bolesnym, częstokroć powodującym paraliż mowy. (Teresa Walas, „Dekada Literacka”, 5/6, 1999).

Mówiąc mniej filologicznie: ten *paraliż mowy* wynikał z różnych skal rozumienia sfery wolności – inteligencja wiedziała dobrze, co niesie kapitalizm dla robotników, ale bez robotników walka – jak pokazał marzec 68 – nie mogła być skuteczna. Podobnie jak i bez inteligencji robotnicy nie mieli szans, co udowodniło doświadczenie grudnia 70. Inaczej mówiąc – inteligencja mierzyła wolność skalą państwa, robotnicy – skalą osobistej lub grupowej pomyślności. Nie było w tym hipokryzji, bo w ostatecznym rozrachunku nie można oczekiwać pomyślności w wymiarze węższym grupowym czy nawet osobistym, bez suwerenności państwa, ale w subiektywnym odczuciu – np. zwalnianych grupowo robotników – kapitalizm przyniósł im, przynajmniej doraźnie, bolesne rozczarowanie. A ci, którzy nawoływali do jego restytucji – okazali się niewiarygodni, z tego partykularnego, ale osobiście dotkliwego punktu widzenia. W ten sposób powstała pustka, którą szybko wypełnili ci, którzy mieli mniej skrupułów. Pluralizm jako wyraz demokracji rychło zamienił się w polaryzację, a następnym jej skutkiem była ostra walka polityczna. Jednym z jej skutków były nowe formy instrumentalizacji kultury.

Przemysleć reguły demokracji

Państwowy mecenat nad kulturą w okresie PRL-u powodował, że władza jako dystrybutor pieniędzy mogła manipulować środowiskami kulturalnymi wykorzystując zasadę „dziel i rządź”, natomiast te środowiska mogły reagować dwojako: uległością lub buntem. W ten sposób można było już na wstępie podzielić środowiska twórcze: na narzędzia polityki kulturalnej i (z punktu widzenia mecenasów) outsiderów.

Po roku 1989 powstał dość poważny zamęt w tej kwestii. Jedni artyści zostali posłami i szybko wyszli z Sejmu z niesmakiem oraz poczuciem bezradności. Inni, co bardziej radykalni, wołali: precz z polityką kulturalną, a w porywach niechęci wręcz nawoływali do likwidacji Ministerstwa Kultury.

Niektóre związki twórcze uwierzyły, że niezależność, jeśli ma być pełna, powinna dotyczyć także i pieniędzy, to znaczy: nie chcemy pieniędzy, nawet na utrzymanie własnych struktur organizacyjnych. Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby dojść do wniosku, że konse-

kwencją takiej postawy jest albo rozpad stowarzyszeń, czyli dalsza marginalizacja środowisk opiniotwórczych i intelektualnych, albo uzależnienie od mecenasów drogą nieoficjalnych, czy zwyczajowych wsparć materialnych.

Mamy więc następujący efekt: przenosząc zachowania z PRL-u w warunki wolnej Polski – prowadzimy do destrukcji w imię szlachetnych celów, z braku skutecznych środków ich realizacji. Jest to destrukcja zarówno na planie interesów jednostkowych poszczególnych twórców, środowisk kulturalnych, jak i polskiej racji stanu.

Błędem w założeniach polityki kulturalnej po roku 1989 było przyjęcie tezy o mecenacie prywatnym i samorządowym jako poważnym czynniku wspierającym mecenat państwowy. Jesteśmy biednym krajem, a cienka warstwa ludzi zamożnych, potencjalnych Medyceuszy, jak na razie (z nielicznymi wyjątkami) jest również cienka w sensie umysłowym, świadomości kulturalnej. Dlatego nowi biznesmeni chętniej wyłożą spore pieniądze na cel spektakularny, który zapewni trzy minuty splendoru w telewizji, aniżeli na wsparcie dzieła sztuki lub literatury, które może przetrwać wieki, ale w prywatnym gabinecie. Ta nowa klasa potrzebuje ostentacji, więc liczyć można na oświecony mecenat za pół wieku.

Samorzady – przy wszystkich zaletach ustrojowych – jak na razie wsławiły się, przynajmniej na poziomie gmin, zatrważającą liczbą zlikwidowanych bibliotek. „Niewidzialna ręka rynku” doprowadziła do wyzbycia się kin, w tym kin z filmem refleksyjnym, artystycznym, na rzecz ekspansji głupoty i przemocy. A kino – to młodzież.

Demokracja – jak wiadomo – realizuje się poprzez organizację poparcia społecznego dla wybranych celów politycznych przez (poszczególne rywalizujące ze sobą w drodze do Sejmu) partie polityczne.

Środowiska kulturalne są zdolne do określenia celów i środków realizacji mecenatu, o czym świadczy zarówno Kongres Kultury z roku 1981, jak i „Raport o stanie kultury” opracowany pod kierunkiem Jana Błońskiego już po roku 1989. Jednak ten dorobek nie stał się przedmiotem wyborczej licytacji. Dlatego np. środowisko aktorskie, które dało z siebie tyle wysiłku na rzecz propagandy wyborczej przed 4 czerwca 1989 – po wyborach wyszło z tej przygody głęboko sfrustrowane brakiem odzewu w polityce kulturalnej na to hasło gotowości propagowania III RP.

Dlaczego? Otóż zabrakło tu wyraźnego kontraktu. Aktorzy wystąpili w tradycyjnej roli instrumentu propagandy. Chwała im za to, bo cel był słuszny. Ale też i frustracja była nieunikniona, bo instrument ma znaczenie tylko do wyborów.

Teraz mamy już normalną, demokratyczną grę w walce o władzę. Każda partia musi walczyć o wyborców, także i tych, którzy utożsamiają się z wartościami kultury. Nie jest to tylko hipoteza, ale fakt polityczny, np. z kręgu Unii Wolności padła już taka oferta w stronę środowisk twórczych, kulturalnych.

Uważam, że nadszedł czas aby, podrzędnie swoistego kontraktu politycznego przed nadchodzącymi wyborami. Ten kontrakt powinien składać się z dwu części: opracowania przez środowiska twórcze i naukowe koncepcji polityki kulturalnej państwa, a następnie, po spularyzowaniu tej koncepcji, udzielenia poparcia tej partii lub koalicji, która przyjmie tę koncepcję za własną, z zobowiązaniem jej realizacji przez przyszły rząd i Sejm. Dla realizacji tego celu byłoby niezbędne reaktywowanie Komitetu Porozumiewawczego Środowisk Twórczych i Naukowych (z wykorzystaniem dorobku z lat 1980–1981, oraz powołaniem ogólnopolskiej struktury składającej się z regionalnych czy wojewódzkich Komitetów Porozumiewawczych powoływanych jako instytucje samorządowe o stałym charakterze i umocowaniu prawnym) jako najodpowiedniejszego miejsca dla wypracowania takiej koncepcji.

Jeśli taka koncepcja polityki kulturalnej powstałaby – mogłaby mieć kilka pozytywnych konsekwencji, na dalszą nawet przyszłość.

Po pierwsze: problematyka kulturalna wchodzi w obieg społeczny jako ważny problem, a nie fanaberyjny kwiatek do budżetowego kozucha, gdzie regularnie przegrywa z innymi

„ważniejszymi” potrzebami. Pośrednio – społeczeństwo może sobie uświadomić, że kultura to ważne spoiwo społeczne, a także znacznie lepszy towar eksportowy w stronę Europy od naszych statków, surowki czy półproduktów, bo taki mamy poziom technologiczny, jaki mamy. Penderecki, Lutosławski, Górecki, Miłosz, Szymborska i duża jeszcze grupa innych pisarzy, Wajda, Zanussi, Grotowski, Kantor itd. itd. – to są „mercedesy” klasy lux.

Nasza gospodarka za pół wieku nie dorobi się takich standardów, jakie mamy do zaoferowania światu poprzez kulturę.

To jest oferta realnego partnerstwa wobec Europy. Jedyna oferta naprawdę partnerska. To po drugie.

Po trzecie: wysuwając taki kontrakt w postaci koncepcji polityki kulturalnej zobowiązujemy przyszły rząd do tego, aby przyszły minister kultury jako współpartner jej realizacji nie pochodził z ostatniego rządu polityków, ale pierwszego, bo tu kompromitacja byłaby spektakularnym wyrazem wiarołomności wyborczego kontraktu. A żadna partia nie jest zainteresowana w podcinaniu własnej wiarygodności.

Po czwarte: formułując wyraźnie koncepcję polityki kulturalnej, jej zakres, formy mecenatu – automatycznie tworzymy obiektywne kryteria jej funkcjonowania. Nie będzie wówczas możliwe szastanie naszymi pieniędzmi na wybryki „kulturalne” za grube miliardy, czy nepotyzm, lub urzędnicze „widzimi się”.

Wreszcie po piąte: przyczyniamy się do wzmocnienia demokracji samą metodą tworzenia polityki kulturalnej: od „dołu”, drogą eliminacji i kompromisów, poprzez profesjonalną ocenę, wreszcie społeczną aprobatę w akcie wyborczym tej partii, która bierze tę koncepcję za swoją. Wreszcie krytyka, w przypadku niewłaściwej realizacji założeń polityki kulturalnej, nie będzie sprowadzać się do wymiarów personalnych, lecz będzie mieć obiektywne odniesienia.

Dryfowanie w obecnej sytuacji jest groźnym zjawiskiem, nie tylko dla kultury, ale przede wszystkim dlatego, że przyczynia się do ostentacyjnej dominacji taniego populizmu. Absencja środowisk opiniotwórczych w sprawach rangi państwowej pozostawia wolne pole wolno-amerykance w walce o wpływy, poza jakimikolwiek normami.

Polityka kulturalna nie musi kojarzyć się z tętym woluntaryzmem, manipulacją czy nepotyzmem, jeśli potraktujemy nasze przykre doświadczenia jako eksponaty z muzeum PRL-u, a przypomnimy sobie takie przykłady jak polityka kulturalna Andre Malraux, czy Jacka Langa we Francji.

Oczekiwanie, że ktoś ze świata polityki dostrzeże znaczenie kultury na prawach jej obiektywnego znaczenia, a nie instrumentu – jest naiwnością.

Jeśli nie wykorzystamy aktywnie dobrodziejstw demokracji, poprzez swoistą ucieczkę do przodu z obecnego dryfowania –wówczas trzeba będzie postawić pomnik Jarry'emu, który pisał: „w Polsce, czyli nigdzie”. A łowcy paradoksów będą mogli dopisać, że zrealizowano ten pomysł w wolnym i suwerennym kraju.

(pierwodruk: „Życie”, 21 stycznia, 1997)

Kosmopolityczna fikcja przeciw realiom

Takie okoliczności raczej nie sprzyjają obiektywnemu spojrzeniu. Dlatego na kwestię strategii kultury w dzisiejszej Polsce szczególne znaczenie ma spojrzenie z zewnątrz, właśnie z punktu widzenia tego zachodniego świata do którego zmierzamy, ale jednak oczyma kogoś, kto zna i rozumie polskie realia.

Takim obserwatorem jest na pewno profesor socjologii z bremeńskiego uniwersytetu – Zdzisław Krasnodębski, który tak oto widzi nasz podstawowy konflikt: *Sytuacja w Polsce (oraz w innych krajach postkomunistycznych) opisywana jest jako zderzenie się uniwersalnego wzoru z lokalną tradycją, która z tego punktu widzenia jest postrzegana jedynie jako szpetna przeszkoda na drodze ku świetlanej przyszłości. Mówi się o „kulturowym zderzeniu*

„między nową prodemokratyczną i prorynkową kulturą, która ma być kulturą „kosmopolityczną, zsekularyzowaną i prozachodnią”, oraz kulturą „antydemokratyczną i antyrynkową”, stanowiącą mieszankę tradycyjnej kultury polskiej z antyzachodnimi, antykapitalistycznymi, egalitarystycznymi, populistycznymi wątkami kultury komunistycznej. Zmiana kulturowa miałaby polegać na ekspansji owych wzorców „kosmopolitycznych, zsekularyzowanych i prozachodnich”. Na tym miałaby polegać modernizacja polskiej kultury i uczynienie jej bardziej „liberalną”.

Zapewne wiele krytycznych słów da się powiedzieć o stanie umysłów w Polsce, nie wydaje się jednak, by proponowana terapia była słuszna. Gdzie bowiem można dostrzec ową kosmopolityczną kulturę poza kanałami muzycznymi telewizji i kongresami socjologów? Globalna kultura kosmopolityczna jest kulturą żywiącą się motywami innych kultur, kulturą bez pamięci i bez związku z czasem i miejscem, a więc nie może być źródłem tożsamości.

Nie może zastąpić kultur narodowych i lokalnych, które nie są przy tym ani hermetycznie zamknięte, ani pozbawione uniwersalnych treści. Dlatego też taka kultura nie może stanowić podstawy czy – jeśli kto woli – nadbudowy demokracji, nawet najbardziej liberalnej (...)

„Realnie istniejące” współczesne demokracje zachodnie są tworamii historycznymi, a nie dowolnymi konstrukcjami ich rzekomo całkowicie suwerennych wobec historii i kultury obywateli, jak nam się wydaje pod wpływem teorii. W prawie zapisana jest także tożsamość kulturowa tych narodów. Dalej autor tego ważnego eseju publikowanego uprzednio w *Znaku* a potem w *Życiu* (16 II, 2000) – podaje liczne przykłady amerykańskiej i zachodnioeuropejskiej demokracji, gdzie poszanowanie tradycyjnych norm kulturowych bywa daleko bardziej pielęgnowane aniżeli w dzisiejszej Polsce. Oczywiście obok realności społecznej istnieją także teoretyczne postulaty, ale – rzecz charakterystyczna – do Polski zaimportowano tylko te koncepty. I to nie jako produkty teoretyczne, lecz jako zachodnią realność społeczną, rodzaj wzorca kulturowego.

Jest to oczywiście nadużycie intelektualne. Na tym jednak nie kończy się manipulacja, bowiem z tego nadużycia intelektualnego (postulatu teoretycznego traktowanego jako rzeczywistość społeczna) zrobiono punkt odniesienia, jedną ze stron podstawowego sporu z polską tradycją uwarunkowaną historycznie, podobnie jak w innych krajach demokratycznych Zachodu, której tam nikt nie podważa. Inaczej mówiąc teoretyczną koncepcję postawiono w roli przeciwnika polskiej realnej tożsamości. Skąd my to znamy? Czyż nie jest to powtórka z tego eksperymentu, jaki miał miejsce w Rosji 80 lat temu? Tam też pewien pomysł teoretyczny na świetlaną przyszłość zderzono z lokalnym „zacofaniem”. Był to również ten sam zestaw promocyjny wartości: *kosmopolitycznych, zsekularyzowanych i prozachodnich* (przynajmniej w sensie miejsca ich powstania). Zdaniem nieocenionego Stefana Kisielewskiego – był to ciekawy eksperyment, szkoda tylko, że nie przeprowadzono go wcześniej na myszach.

I oto w Polsce, zaledwie kilka lat po otrąśnięciu się po skutkach tamtego eksperymentu, już znaleźli się lokatorzy we własnym kraju, gotowi go przeciwzić, wykorzystując zamieszanie w tym szczególnym czasie (vide: konkluzja A. C. Danto!).

Z realnego socjalizmu wszyscy wyszliśmy egalitarnie, zgodnie z obietnicami tego ustroju – boso. No i teraz jest czas walki o to, kto dalej pójdzie w łapciach, a kto w lakierkach; kto znajdzie się w kręgu taniej siły roboczej, a kto zostanie właścicielem niegdyś wspólnie wypracowanego majątku. Im większy zamęt, tym łatwiej o realizację tych samych celów, o których pisał także i Andrzej Strug w *Pokoleniu Marka Swidy*. Z tą jednak różnicą że na początku II Rzeczypospolitej istniała jeszcze silna presja opinii publicznej na przestrzeganie norm przyzwoitości, a jej strażnikiem była względnie niezależna inteligencja i warstwa ziemiańska. Na początku III Rzeczypospolitej niezależna inteligencja była w stanie szczątkowym (w skali społecznej) bez oparcia w niezależności materialnej, a w dodatku – jak trafnie zauważyła Teresa Walas – cierpiąc na „paraliż mowy” zostawiła na tym pustym polu miejsce na „eksperymenty”.

Europejczycy pytają o naszą tożsamość

We wrocławskiej „Odrze” (1, 2000) opublikowana została dyskusja z udziałem intelektualistów z kilku krajów pt. *Wyzwania XXI wieku*, z częściowym odniesieniem do naszych spraw. Oto kilka symptomatycznych wypowiedzi:

John Gray – filozof: *Nie ma ani uniwersalnego modelu kapitalizmu, ani uniwersalnego modelu demokracji. Istnieje wiele różnych modeli i najlepiej funkcjonuje ten dostosowany do wyjściowych warunków danego kraju, jego potrzeb, sposobu jego rządzenia i upowszechnionych wartości.*

Francuski historyk Daniel Beauvois mówi wprost o ścisłym związku świadomości kulturowej własnego miejsca z praktyką polityczną w wymiarze perspektywicznym: *Pojęcie Europy Środkowo-Wschodniej, którego przecież nie było jeszcze dziesięć lat temu, dziś stało się niezbędne, zastępując dawne określenia: Wielkie Księstwo Litewskie, Rzeczpospolita Obojga lub nawet Wielu Narodów, Kresy itd. Dziś tereny Ukrainy, Litwy, Białorusi stały się kresami NATO. Znajomość historii tych ziem warunkuje prowadzenie rozsądnej polityki wobec nich w następnym dziesięcioleciu. Wszyscy powinniśmy pamiętać, czym była obecność Rosji na tych ziemiach, żeby narody tam mieszkające nie obawiały się także ich powrotu. Nowa historia powinna być otwarta na racje sąsiadów, żeby być na przyszłość rękojmią pokoju dla naszych synów i wnuków.*

Klaus Zimer – historyk: *określenie polskiej tożsamości jest fascynującym zadaniem historiografii polskiej, i to pod różnymi względami. Jeden problem dotyczy miejsca Polski w Europie. Jaka jest definicja Europy Środkowo-Wschodniej? Gdzie zaczyna się ona na zachodzie, a gdzie kończy się na wschodzie? Czy zaczyna się na Łabie, na Odrze, czy dopiero na Bugu? To pytania nie tylko akademickie i teoretyczne, ale mają ogromny wpływ na określenie naszej tożsamości ze skutkami dla politycznej praktyki integracji europejskiej. (Podkreślenia moje SP).*

Uważne wsłuchanie się w sens tych wypowiedzi intelektualistów z krajów mających decydujący wpływ w Uni Europejskiej, czyli w naszym przyszłym partnerstwie zachodnioeuropejskim, a już dzisiejszym – obronnym, nie wymagają komentarza.

To z ich punktu widzenia ważne jest określanie istoty naszej tożsamości kulturowej i to nie dla zaspokojenia ciekawości, lepszego poznania naszej specyfiki, ale dla praktycznych celów, które ich interesują. Domagają się od nas określenia polskiej tożsamości, bo to pośrednio pomoże w zdefiniowaniu ich tożsamości (Klaus Zimer). W przeciwieństwie do naszych „liberałów” gotowych do natychmiastowej mimikry wobec wymaganych wzorców Zachodu – tenże przedstawiciel Zachodu poszukuje w naszej tożsamości lustra dla określenia swojej.

Wreszcie ten Anglik, z kraju o wielowiekowym doświadczeniu demokracji, wolnego rynku i nieprzerwanej suwerenności, zamiast przywieść przepisy na demokrację i wzorce kulturowe – twierdzi, że najlepszym gwarantem pomyślnego rozwoju społecznego jest respektowanie własnych wartości i uwarunkowań (John Gray). To nie jest tylko dobra rada, ale i praktyczne zainteresowanie w perspektywie polskiego członkostwa we wspólnocie europejskiej. Ta wspólnota życzy sobie jak najmniej kłopotów, związanych z naszym akcesem. A tych kłopotów będzie mniej, jeśli polska demokracja i polski system rynkowy będą ufundowane na stabilnych realiach własnej tożsamości, a nie na ruchomych piaskach życzeniowych konceptów lub wątpliwych eksperymentach.

Francuski uczoney mówi wprost o politycznym zastosowaniu wiedzy o Polsce i krajach z nami sąsiadujących ze wschodu (wobec tych krajów), a jego niemiecki kolega dodaje, że jest to warunkiem pomyślnego procesu integracji europejskiej.

Te opinie świadczą wyraźnie o europejskich oczekiwaniach budowania przyszłości na własnej tożsamości polskiej, nie tylko dla własnej stabilności; jest to potrzebne także i wspólnocie europejskiej, jako środek do realizacji wspólnej polityki wschodniej.

Instrumentów realizacji tej polityki jest z pewnością wiele, ale wspólnym mianownikiem i warunkiem jej skuteczności – zauważmy – jest wiedza o przeszłości i specyfice kulturowej tego regionu na którym ma być prowadzona. Co to oznacza? Ni mniej ni więcej zaliczenie wiedzy o kulturze do podstawowych środków politycznych. Co więcej – życzenia idą dalej: aby prowadzić rozsądną politykę, zwłaszcza na wschodzie – należy oczywiście uszanować doświadczenia naszych wschodnich sąsiadów, ale warunkiem poprawności, co w języku dyplomatycznym znaczy: skuteczności tej polityki – jest znajomość realiów, mentalności, słowem tożsamości kulturowej tego obszaru. To już nie jest fascynacja, lecz praktyczny wymóg, jeśli nie żądanie wobec nas, Polaków – sojuszników ze wspólnego paktu obronnego, a w przyszłości także UE.

Tło polityczne

Wiek XX to dwie nieudane próby zorganizowania tego chaotycznego świata, które skończyły się dwoma zbrodniczymi totalitaryzmami. Pierwszy został pokonany militarnie w połowie wieku, drugi rozpadł się pod koniec stulecia. Polska była centralnym miejscem tego *Bożego igrzyska*.

Wraz z upadkiem drugiego totalitaryzmu pod koniec wieku zmieniła się też globalna konfiguracja: upadł dwubiegunowy system oparty na rywalizacji dwóch mocarstw: USA i ZSRR.

Polska i kilka krajów środkowoeuropejskich, uzależnionych od ZSRR, po podziale jałtańskim znalazła się początkowo w strefie ZSRR i z czasem przeszła w strefę wpływów Zachodu (integracja z NATO, perspektywy integracji z Unią Europejską).

Dwubiegunowy świat – prosty w swym ideologicznym zróżnicowaniu przestał istnieć. Pozostało jedno supermocarstwo (USA): kilka mocarstw regionalnych (już dziś: Rosja, Unia Europejska, Chiny; potencjalnych: Japonia, Indie, Ameryka południowa); kilkanaście krajów średniej wielkości, do których należy także i Polska.

Współczesną mocarstwowość trudno zdefiniować prostym kryterium, np. gospodarczo-militarnym. Bywa i tak, że kraj; słabe gospodarczo (Rosja, Chiny, Indie) są jednak mocarstwami ze względu na posiadanie broni nuklearnej, podobnie jak kraje bardzo silne gospodarczo, choć pozbawione broni nuklearnej (Niemcy, Japonia).

Stosunkowo długi pokój w wymiarze globalnym zawdzięczany doktrynie wzajemnego odstraszenia, czyli świadomości, że użycie broni ostatecznej grozi totalną zagładą planety. W czasach tak kruchego, ale jednak pokoju – politykę realizuje się przy użyciu argumentów siły militarnej, jak i wpływów cywilizacyjnych, zwłaszcza gospodarczych, technologicznych itd. Państwo dysponujące obydwoma tymi argumentami wpływów politycznych dlatego właśnie jest supermocarstwem.

Upadek układu dwubiegunowego, połączony z rozwarstwieniem pozostałych państw ze względu na dysponowanie najczęściej tylko jednym argumentem politycznym, np. gospodarczym (Niemcy, Japonia), lub tylko militarnym (Rosja, Indie), albo obydwoma w stopniu niedostatecznie silnym (Chiny, Pakistan), nie licząc państw znacznie słabszych – stwarza konieczność powstania nowego, bardziej skomplikowanego układu sił.

W tej kwestii zgadzają się dwaj wybitni politolodzy, zarówno Zbigniew Brzeziński, jak i Samuel P. Huntington, twierdząc że powstanie lub już powstaje tzw. układ dwu trójkątów: USA – UE – Rosja i USA – Chiny – Japonia. Utrzymanie równowagi pomiędzy tymi trójkątami z obecnością USA w każdym z nich – to postawa pokoju w dającej się przewidzieć perspektywie.

Nowa globalna geometria

Jak łatwo zauważyć, ta nowa polityczna geometria uwzględnia tylko korelację pomiędzy supermocarstwem a mocarstwami regionalnymi. Jednak na tym nie wyczerpuje się zagadnienie równowagi sił i utrzymania pokoju. Napięcia wśród wielkich najczęściej wynikały z przejmowania wpływów wśród państw małych, od Korei i Wietnamu począwszy, na ostatniej wojnie bałkańskiej skończywszy, nie wyłączając grozy wojny nuklearnej z początku lat 60. o małą wyspę, jaką jest Kuba.

Wyciągając wnioski z okresu zimnej wojny, a także wspomnianej zmiany geometrii politycznej – nowa polityka zakłada strukturę trójpoziomową. Na najwyższym poziomie USA rozgrywają swoje polityczne szachy we wspomnianych dwóch trójkątach. Na średnim poziomie odpowiednio dobrane państwa mają czuwać nad bezpieczeństwem w skali regionalnej. W naszej części kontynentu, powiedzmy – dzielnicy Europy, taka rola przypadnie najprawdopodobniej Niemcom z racji dość złożonych. Otóż Niemcy wraz z Francją stanowią rdzeń Unii Europejskiej. Trzecim partnerem, wprawdzie silnym, ale dystansującym się w niektórych sprawach jest Wielka Brytania. Dlatego więc Niemcy zostaną mianowane dzielnicowym Środkowej Europy – jak wolno przypuszczać – z tego powodu, że są najsilniejszym krajem gospodarczo, ale pozbawionym broni nuklearnej, a ponadto kontrolowanym do pewnego stopnia przez obecność amerykańskich sił militarnych jeszcze od czasu II wojny światowej. Francja jest krajem nuklearnym i nastawionym antyamerykańsko z powodów kulturowych i ambicjonalnych, a Wielka Brytania jest ścisłym współpracownikiem politycznym USA, również dysponującym bronią atomową. W tej konfiguracji kryteriów militarno-politycznych Niemcy są państwem środka, częściowo uzależnionym od USA, o największym potencjale gospodarczym. To pozwala na pośrednią sterowność wpływów politycznych USA w regionie Środkowej Europy, a równocześnie nie wyzwała gwałtownych oporów z powodu afiliacji politycznej Wielkiej Brytanii, czy trudnego partnerstwa z ambicjami Francji – ponadto dwoma państwami nuklearnymi.

Wynika z tego, że naszym regionalnym dzielnicowym będą Niemcy, ale nie w stopniu oficerskim, lecz co najwyżej sierżanta. A próbą sterowności politycznej Niemiec pod wpływem USA był np. spór o odszkodowania dla przymusowych robotników, z roku 1999, gdzie USA wymusiły odpowiednio koncyliacyjną postawę Niemców, którzy bez amerykańskiej presji nie byli skorzy do uregulowania swych zobowiązań wojennych. Mimo świadomości, że Polska nie z własnej woli, lecz pod wpływem stalinowskiego dyktatu zrzekła się pomocy planu Marshalla, tego, który, m.in. przyczynił się do gospodarczej odbudowy Niemiec po II wojnie światowej.

I to jest drugi poziom nowej polityki: pośrednia, regionalna struktura bezpieczeństwa.

Trzeci, najniższy, poziom tej struktury politycznej można nazwać doraźnym regulatorem wpływów politycznych.

Zbigniew Brzeziński jest zdania, że sprawność wprowadzenia w życie polityki *dwu trójkątów*, po okresie polityki dwubiegunowej jest uzależniona od pewnych regionalnych niuansów politycznych, które w zależności od rozwoju sytuacji mogą mieć poważne znaczenie w ogólnym bilansie sił w obrębie poszczególnych *trójkątów politycznych*. Niuanse te dotyczą wyboru politycznego kilku państw średnich, samych w sobie bez wielkiego znaczenia, które ze względu na położenie na styku tychże wielkich trójkątów (np. Ukraina lub Turcja) – mają znaczenie języczka u wagi w globalnym rozkładzie sił.

Nie wchodząc w szczegóły: np. od wyboru politycznego Ukrainy zależy, jaka będzie waga mocarstwa Rosji. Jeśli nastąpi integracja Ukrainy z Rosją – wówczas Rosja będzie mieć inne znaczenie, aniżeli w sytuacji, kiedy Rosja pozostanie bez Ukrainy. Podobne znaczenie ma polityczna decyzja Turcji i kilku innych państw pozostających w podobnych sytuacjach.

Ze zrozumiałych względów nas interesuje decyzja Ukrainy.

Po pierwsze dlatego, że nie jest dla nas obojętne – jako wschodniej rubieży NATO – siła i waga Rosji. Tu interes Polski i USA jest zbieżny, choć nie identyczny (dla USA Rosja jest partnerem politycznym w jednym z trójkątów, dla Polski – sąsiadującym bezpośrednio mocarstwem nuklearnym).

Po drugie jeśli – zgodnie z interesem USA i Polski, a także i całości Zachodniej Europy – Ukraina wybierze opcję prozachodnią – wówczas Polska ma do odegrania specjalną rolę: państwa adaptującego Ukrainę do struktur zachodnioeuropejskich.

Społeczeństwo Ukrainy po dziesięciu latach od uzyskania niepodległości zauważyło zapewne, że polski wzór przemian jest zachęcający i daje dobre rezultaty gospodarcze, mimo dużych wyrzeczeń, a także i napięć społecznych. Być może nie bez związku z tym, po ostatnich wyborach na Ukrainie w roku 1999, pierwsze oznaki wskazują, że Ukraina wybiera drogę na zachód. O tym, że jest to poważna sprawa także i dla USA świadczyć może fakt, że Zbigniew Brzeziński postanowił osobiście zaangażować się w organizację instytucji wspierania reform m.in. na rzecz Ukrainy, po uznaniu Polski za kraj już demokratyczny o gospodarce rynkowej, czyli zbliżony do podstawowych standardów Zachodu.

Kultura – podstawą polityki

Wymieniona powyżej wspólnota poglądów, wspomnianych dwóch wybitnych politologów amerykańskich w kwestii stworzenia nowego ładu politycznego ma również i zasadniczą różnicę, mianowicie nie w kwestii formułowania celów strategicznych nowej polityki, lecz środków realizacji.

Zbigniew Brzeziński uważa, że w polityce dominują czynniki militarno-cywilizacyjne, natomiast Samuel P. Huntington twierdzi, iż decydujące znaczenie dla poszczególnych cywilizacji mają więzi kulturowe. Sojusze polityczne są tym bardziej trwałe, im silniej spajają je więzi kulturowe, natomiast *zderzenia cywilizacyjne* wynikają także z różnic kulturowych. Tezę o wpływie czynnika kulturowego na politykę postawił również Bronisław Geremek przed dwoma laty (podczas wręczania mu nagrody w Awinionie). Warto przy tej okazji wspomnieć trafną prognozę Andre Malraux, który twierdził że wiek następny będzie wiekiem religii, albo nie będzie go wcale. A wygłaszał ją w czasie oficjalnej dominacji poglądu skrajnie przeciwnego nie tylko na Wschodzie, ale także i wśród elit intelektualnych Zachodu. Potwierdzeniem tej hipotezy francuskiego pisarza jest dzisiejszy rozkwit życia religijnego, a także wpływów tego czynnika kulturowego na politykę prowadzoną zarówno metodami pokojowymi (rozpad ZSRR), jak i niestety wojny regionalne (Afganistan, Bałkany, Czeczenia).

Na ten szczególnie układ uwarunkowań militarnych i kulturowych nakłada się dodatkowo specyficzna rola Ukrainy jako języczka u wagi w globalnej polityce USA formułowanej w skrócie jako polityka *dwóch trójkątów*. Wpływ na globalną konfigurację polityczną będzie mieć wielkość Rosji. Inne znaczenie będzie mieć Rosja bez Ukrainy, a inną wagę polityczną, jeśli to państwo zostanie wchłonięte przez Rosję. Od tego będzie zależeć zdolność tworzenia aliansów Rosji jako ośrodka skupiającego wokół siebie inne państwa, lub jako państwa zabiegającego o sojusze, np. z Chinami. To rozstrzygnięcie zadecydować może o konfiguracji Rosji w obrębie wspomnianych *dwóch trójkątów* politycznych w skali globalnej. A to nie jest obojętne dla podstawowej strategii amerykańskiej, wręcz odwrotnie – ma znaczenie fundamentalne dla zdefiniowania rozkładu sił w globalnej polityce Ameryki. W tym sensie polityka wobec Ukrainy ma szczególne znaczenie dla USA.

Jeśli uwzględnić nasze położenie, a przede wszystkim fakt wspólnej przeszłości historycznej wraz z Ukrainą, Białorusią i Litwą; więcej: wspólnotę korzeni tożsamości polskiej i tych krajów – to nasza rola gwałtownie wzrasta, zwłaszcza na tle popularności wspomnianej doktryny o kulturowych determinantach polityki, no i – ma się rozumieć – rosyjskiej lekcji z wszczepianiem zachodniej demokracji. Te okoliczności powodują, że Polska jako kraj trzecio-

rzędnego znaczenia, pod tym względem może awansować do roli ścisłego partnera supermocarstwa, zwłaszcza jeśli Ukraina wybierze drogę gospodarczej współpracy z Zachodem, demokrację i wolny rynek. A takie sygnały zaczynają powoli stamtąd dochodzić.

Zachód pomagając Rosji wciąż uważa ją za swojego konkurenta, zwłaszcza pod względem militarnym. Nieudany eksperyment z demokratyzacją Rosji spowodował, że Rosja jest i długo jeszcze będzie krajem surowcowym. Wielka maszyna produktywności wysoko uprzemysłowionych państw Zachodu i surowcowe zaplecze Rosji – to układ komplementarny. W amerykańskiej polityce *dwóch trójkątów* nie chodzi o osaczanie Rosji, czy izolację – jak to często powtarza propaganda, ale o utrwalenie takiego właśnie komplementarnego *status quo*.

Wspólnota kultur

W tym planie politycznym Polska ma szczególną rolę do odegrania – nie tylko jako sąsiad Ukrainy, Litwy, czy Białorusi, ale jako kraj, który ma wspólne korzenie kulturowej tożsamości. Te trzy kraje przed kilkoma wiekami wchodziły nie tylko w skład wspólnego państwa, ale na jego niemałych przestrzeniach dokonywała się fuzja wartości pochodzących z dwóch różnych systemów kulturowych. I była to fuzja oparta na tolerancji, czego dowodem były zarówno plany konfederacji Korony, Litwy i Ukrainy popierane przez reprezentantów wszystkich zainteresowanych stron. Nie udała się ta miniatura Unii Europejskiej nie z powodu braku zgody, lecz perypetii dynastycznych.

Drugim dowodem tolerancji jest fakt niezbity, że właśnie na tych terenach nie tylko przetrwała, ale i wykształciła swoje żywotne formy kultura żydowska, do dziś wiążąca grupy tego narodu rozrzucone po wielu krajach.

Wspomnienie tolerancji, jako podstawy tej fuzji kulturowej, jaka dokonała się na terenach I Rzeczypospolitej świadczy o jej dobrowolności i wielokierunkowości. Tak jak do Korony wpływały wartości kultury wschodniej, tak samo na tereny wcześniej objęte wpływami prawosławia wpływały impulsy kultury łacińskiej.

W tym bilansie wpływów, poza stworzeniem pewnej odrębności kulturowej, pod względem cywilizacyjnym rezultaty były obustronnie niezadowolające. Dzisiejsze narody za obecną wschodnią granicą przechowały w swojej zbiorowej pamięci dominację *polskich panów*, mimo że jeśli dobrze się przyjrzeć, byli to panowie najczęściej prawosławni, co wówczas nikomu nie przeszkadzało. W polskiej świadomości pozostało przeświadczenie o wysokich kosztach politycznych tej fuzji, w tym sensie, że na powiększonym gwałtownie obszarze zmniejszyło się ciśnienie na rzecz przemian cywilizacyjnych. Drugim powodem do niezadowolenia były polityczne skutki nieuniknionego importu bizantyjskiej mentalności do instytucji politycznych w Koronie, co miało wpływ na tendencje odśrodkowe państwa, w końcu – jego powolny upadek.

Na tym obopólnym niezadowoleniu z rezultatów wspólnej przygody historycznej budowane są także i współczesne uprzedzenia, wszak wspólna historia miała również i dramatyczne momenty – począwszy od powstania Chmielnickiego – na niezagojonych ranach ostatniej wojny – kończąc.

Jednak inaczej ten bilans nie mógł się skończyć, jak tylko pewnego rodzaju kompromisem. A kompromis – w rozumieniu zachodnim nie jest klęską, lecz optymalnym rozwiązaniem. Natomiast w rozumieniu wschodnim, gdzie umowa społeczna jako norma rozstrzygania konfliktów nie przyjęła się, tylko zwycięstwo albo klęska stanowią satysfakcjonujący rezultat. Warto o tym pamiętać, bo jeśli po pewnym czasie zarysuje się możliwość współpracy – na tym tle będą podgrzewane resentymenty, próby skłócenia sąsiadujących narodów.

Nasi sąsiedzi zza wschodniej granicy wyszli z imperium bardziej poszkodowani aniżeli Polacy, a ponadto wolniej dojrzewiała tam wola zmian. To opóźnienie ma swoją cenę w postaci słabości gospodarczej. A taka sytuacja zwykle wywołuje poczucie niepewności, w skraj-

nych przypadkach – nawet zagrożenia. A tam gdzie jest strach – trudno o racjonalizm. Tylko na takim tle można podsycać nieufność, ze zrozumiałych względów korzystną dla państw trzecich, zwłaszcza Rosji. Spróbujmy więc spojrzeć na realia.

Gdyby komuś w Polsce strzeliła do głowy dzika myśl o próbach dominacji nad słabszymi sąsiadami – to po pierwsze trzeba wziąć pod uwagę, że Wojsko Polskie jest już pod kontrolą polityczną NATO. A sojusz jako całość nie ma żadnych interesów w partykularnej awanturze któregoś z jego członków. To jest po prostu wykluczone. Jaka inna forma dominacji może wchodzić w grę? Gospodarcza? Tu decyduje rynek i regulacje państwa właściwymi instrumentami, takimi jak cła czy podatki. Kulturalna? W czasie dominacji dzisiejszych środków przekazu – żadna granica i żaden system nie przeszkodzi osmozie kultur. Reszta zależy od samych twórców i ich wyczucia. Pierwsza próba podjęcia jednego z kontrowersyjnych tematów polsko-ukraińskich w filmie *Ogniem i mieczem* – Hoffmana, jak się wydaje, była głosem rozsądku i poszanowania. Coraz więcej artystów z krajów sąsiadujących z nami widzi w Polsce okno na szerszy świat i to okno na pewno będzie się powiększać, także i w interesie polskiej kultury współczesnej.

Realną przeszkodą w budowaniu mostów pojednania i partnerskiej współpracy jest brak świadomości, wspólnych korzeni. To, że Mickiewicz urodził się na Litwie, Moniuszko na Białorusi, a Słowacki na Ukrainie może być zarówno dowodem obcych wpływów, jak i argumentem przeciwnym: to właśnie lokalna kultura tak ukształtowała osobowości tych twórców, że ich dzieła miały wymiar uniwersalny, choć były pisane po polsku. W tym przypadku podział jest wyraźny, bo język jest wyróżnikiem narodowym. Ale jak zinterpretować takie zjawiska – oryginalne przecież w skali światowej – jak wileńska szkoła architektury i lwowska szkoła rzeźby rokokowej z XVIII wieku? Widać tam, zwłaszcza w architekturze zarówno wpływy zachodnie, jak i wschodnie, przetworzone nierzadko przez miejscowych artystów, których często nie znamy nawet z imienia i nazwiska, nie mówiąc o narodowości. Czy to są dzieła polskie, litewskie, ukraińskie, białoruskie – czy wspólne? Ich topografia obejmuje wszystkie te kraje i żaden nie może mieć poczucia ostatecznej wyłączności. Po prostu jest to nasze dziedzictwo wspólnego doświadczenia geokulturowego i najlepszy przykład wspólnych korzeni. Jak je wykorzystamy – to kwestia rozumu i wyobraźni.

Parytet uczciwych możliwości

W dziedzinie gospodarczej interesy polsko-ukraińskie dziś realizują się w wymiarze bazarowym, ale nie jest to kres możliwości. Strategiczne punkty są obiecujące, także na większą skalę.

Jeśli Ukraina zechce obronić niepodległość – powinna uniezależnić się od Rosji i związać gospodarczo z Zachodem. W politycznym interesie USA i Unii Europejskiej leży pomoc gospodarcza dla Ukrainy. Doraźnie – pomoc wystarczy, natomiast na dłuższy dystans, a o taki przecież chodzi – pomoc musi być wsparta metodami wyjścia z poprzedniego ustroju. Polska ma zarówno swoje doświadczenia wychodzenia z tego samego systemu, a także i praktycznie sprawdzalne rezultaty, wreszcie wspólnota kultur pozwala na dobre rozumienie specyfiki swego sąsiada, nie zawsze czytelnej dla mentalności anglosaskiej. To są powody, dla których Polska powinna być i zapewne będzie partnerem Zachodu na drodze unowocześniania Ukrainy, choć sama nie dysponuje możliwościami, zwłaszcza kapitałowego włączenia się w ten proces. Ma to i tę dobrą stronę, że wyklucza podejrzenie o chęć gospodarczej dominacji swego sąsiada w jego najtrudniejszym, a więc nierównym momencie startu do zmian systemowych. Natomiast realne korzyści może mieć w przyszłości jako i kraj tranzytowy, i najbliższy sąsiad Ukrainy. Do pomyślenia jest – przy dobrej koniunkturze – wspólnota interesów w wybranych dziedzinach obu sąsiadujących państw ze 100–milionowym rynkiem. A to już nie jest drobnica w skali europejskiej, lecz realnie znaczący partner zarówno wobec Niemiec, jak i Rosji.

Istnieje również wspólnota interesów politycznych. Dla Ukrainy – cel jest oczywisty: utrzymanie niepodległości dzięki uzyskaniu niezależności gospodarczej. Natomiast polski interes polityczny jest bardziej pośredni, lecz także realny.

Na obecnej szachownicy środkowoeuropejskiej największą figurą są Niemcy, dla pilnowania spokoju w regionie. Mają do pełnienia tej funkcji odpowiednie możliwości. Ale – jak pisał Grass o swoich ziomkach – *nigdy nie jest dosyć, aby mogło być dosyć*. Gdyby ta formuła zamieniała się w pełzającą realność, przy znanej niemieckiej inklinacji do współpracy z Rosją począwszy od czasów Piotra, a na ostatniej wojnie kończąc – specjalna misja pomocy Ukrainie u boku USA jest dla Polski gwarantem przeciwwagi dla takiej możliwości. Tym bardziej że to Ameryka jest głównym udziałowcem w NATO, i takim pozostanie, nawet jeśli powstanie zachodnioeuropejski korpus szybkiego reagowania.

Ta pośrednia gwarancja polityczna ze strony USA wobec Polski jest o tyle możliwa, o ile Polska będzie użytecznym partnerem dla realizacji niepodległościowych aspiracji Ukrainy, co leży w politycznym interesie Ameryki z punktu widzenia jej stosunków z Rosją.

Ta nieco skomplikowana konfiguracja po raz pierwszy od wielu dziesiątków lat stawia przed Polską i Ukrainą wyjątkowo uczciwy parytet możliwości: sukces Polski jest uzależniony od sukcesu Ukrainy – i odwrotnie: niepodległość Ukrainy daje Polsce gwarancję stabilności.

Podstawowy atut – strategia kultury

Ta strategia polityczna jest ściśle związana ze strategią kultury. Jeśli polska kultura przyjmie postawę mimikry wobec Zachodu, a kosmopolitycznych – przecież jedynie teoretycznych abstraktów użyje jako środka do wytrzebień własnej tożsamości kulturowej – straci dwa atuty równocześnie.

Pierwszy atut do stracenia – to rezygnacja z własnej oryginalności, która właśnie teraz, wskutek zmian politycznych ostatniego dziesięciolecia tak naprawdę dopiero wzbudza zainteresowanie Zachodu swą odmiennością. Oryginalne i jakże polskie, a równocześnie europejskie malarstwo Jacka Malczewskiego istnieje już sto lat, ale dopiero teraz doczekało się uznania w Paryżu jako oryginalna europejska propozycja. Wystawy *Skrzydlatych jeźdźców* w Ameryce, czy prac Magdaleny Abakanowicz nie są kwitowane zdawkowymi uprzejmościami, ale autentycznym i prestiżowym zainteresowaniem. Przykłady będą się mnożyć, jeśli zdołamy utrzymać własną niezależność właśnie na poziomie strategii kultury, zamiast wozic drwa do lasu, bo przecież nie zaimponujemy zachodniemu światu naszym jeszcze wieloletnim zacofaniem cywilizacyjnym, lecz tylko kulturą. Tylko tym atutem możemy operować w poszukiwaniu własnego miejsca w nowej konfiguracji europejskiej na Zachodzie.

Drugi atut do stracenia – wiąże się z deprecjacją własnej tożsamości kulturowej, jako środkiem do porozumienia z sąsiadującymi narodami ze wschodu. A ranga tego porozumienia w świetle znaczenia kultury we współczesnych doktrynach politycznych jest równie poważna, jak i potencjalna rola Polski wobec Ukrainy i wynikające stąd gwarancje dla naszej stabilności. A tu już dotykamy kwestii polskiej racji stanu – możliwej do zrealizowania w znacznym stopniu przez rozumną strategię kultury.

W takim planie postulat amerykanizacji naszej kultury jest bezużytecznym plagiatem dla Ameryki, w sensie politycznym, a dla nas utratą ważnego instrumentu realizacji polskiej polityki. W sensie ściśle kulturowym jest to postulat zastąpienia realnej treści – fikcją.

V. ALTERNATYWA

Strategia kultury, jaką zaproponował Czesław Miłosz w swym paryskim odczycie proponuje nam podporządkowanie własnej tożsamości kulturowej instrumentalizacji politycznej, zamiast szukać takiej strategii, gdzie realizacja tego samego celu mogłaby być zgodna z istotą polskiej tożsamości kulturowej.

Treścią sporu jest więc przekonanie, że tak, jak nie można zbudować wolnego społeczeństwa posługując się niewolniczymi środkami (heteronomia), tak samo nie można zbudować trwałych związków politycznych ignorując podstawy kulturowe własnego społeczeństwa. A taka ukryta teza istnieje w propozycji Czesława Miłosza (postulat adaptacji kultury amerykańskiej).

Istota sporu nie dotyczy celów, lecz środków. W tym przypadku celem jest integracja z Zachodem, przy współpracy z USA, ale środkiem skutecznym realizacji tego celu i podstawowym warunkiem powodzenia – w moim przekonaniu – jest afirmacja własnej tożsamości kulturowej i dopiero na tej podstawie należy budować strategię realizacji perspektywnych celów politycznych.

W tym punkcie warto zapytać czy zgoda co do wspomnianego celu jest koncepcją powszechnie akceptowaną? Otóż sądzę, że ten spór mimo że dotyczy wprawdzie rzeczy podstawowej, jaką jest oparcie polskiej integracji z Zachodem o współpracę z USA, jest jednak dzieleniem skóry na niedźwiedziu, jeśli popatrzymy na dominujący dziś w Polsce styl myślenia o koncepcjach integracji Polski z Unią Europejską.

Trójkąt weimarski czy bermudzki?

Przed każdym półroczem, nasi dyplomaci wyjeżdżają do kolejnego kraju, który będzie przewodniczył Unii Europejskiej po wsparcie naszych spraw integracyjnych. Zwykle używają ogólnikowe obietnice, po czym nic specjalnego się nie dzieje.

W wyniku tych nacisków co jakiś czas pojawiają się odległe, a więc niezobowiązujące horoskopy w kwestii daty wstąpienia Polski i krajów środkowoeuropejskich do UE. Była już data roku 2000, potem 2003, teraz już opowiada się o dacie późniejszej o dwa, trzy lata.

Po kolejnej krucjacie nacisków przybył do Polski, francuski minister spraw zagranicznych, tym razem z odmienną porcją obietnic: *Francja, która obejmie przewodnictwo w Unii 1 lipca chce, by proces rozszerzenia nabrał konkretnych kształtów. Zaproponujemy każdemu krajowi scenariusz negocjacji, w którym wymienimy problemy i sposoby ich rozwiązania (...) Dla Polski najtrudniejsze są rozdziały rolnictwa, swobodnego przepływu osób i kapitału, ochrony środowiska oraz bezpieczeństwa wewnętrznego i wymiaru sprawiedliwości.* („Gazeta Wyborcza”, 1–2 lipca, 2000).

Ten zestaw lekcji do odrobienia jest imponujący, tak naprawdę dotyczy połowy spraw państwowych. A biorąc pod uwagę pojemność każdej tych dziedzin można ciągle znaleźć coś do jeszcze lepszego udoskonalenia i tak dowolnie przeciągać termin integracji. Na argument że nasz kraj jest już w stanie zbliżonym, pod względem przemian, do standardu kilku krajów które wcześniej zostały przyjęte do UE – nie ma odpowiedzi. Aby jednak pozostawić wrażenie że to nie UE, a tym bardziej Francja czyni obstrukcje, minister Vedrine zachęca z uśmiechem pełnym uprzejmej hipokryzji: *idźcie naprzód jak najszybciej, rozwiązujcie skutecznie problemy, a wejdziecie do Unii, gdy tylko będziecie gotowi.*

Dlaczego tak się dzieje że Francja i inne kraje UE, prowadzą grę na zwłokę, wyszukując kolejne preteksty?

Pierwsza odpowiedź jest dość prosta. Jeśli najpierw oddaliśmy walkowerem strategiczne części naszej gospodarki obcemu kapitałowi, np. handel, czy banki, zanim nastąpiła decydująca runda rokowań – to dziś pod względem gospodarczym już nie ma o czym negocjować. Jesteśmy w pozycji proszającego, nalegającego, powołującego się na humanitarne ideały, wspólne tradycje itd. A Francuzi na to: *idźcie naprzód... rozwiążcie problemy...*

Po tej lekcji naiwności i kubły zimnej wody wylanej przez francuskiego ministra spraw zagranicznych na rozgrzane propagandą głowy nasi publicyści zaczynają spekulacje. Modelowym przykładem jest tu artykuł Marka A. Cichockiego, opublikowany w „Życiu” (z 6 lipca, 2000), pod wymownym tytułem *Trudny trójkąt*, z odkryciem zawartym w podtytule: *Klucz do owocnej współpracy polsko-niemieckiej mają Francuzi*.

Na początek taka oto konstatacja: *Politycy niemieccy, a często także polscy, posługują się niekiedy efektywnym sloganem, mówiąc, że stosunki polsko-niemieckie powinny być tak samo dobre, jak niemiecko-francuskie*. Dodajmy – większość publicystów – także!

Dla uwiarygodnienia tego sloganu wypito zapewne wiele szampana w spotkaniach tzw. trójkąta weimarskiego, aby zademonstrować strukturę wspólnoty politycznej polsko-niemiecko-francuskiej. Wkrótce jednak okazało się że – jak zauważa Cichocki – *Francja w sprawach polityki europejskiej pragnęłaby nie tylko zachować wpływ na Berlin, ale chciałaby również, aby ten wpływ był wyłączny i decydujący. Nie jest to trudne, bowiem sami Niemcy nie zrobią absolutnie nic, co mogłoby wystawić na szwank ich stosunki z Francją, uznawane za strategiczne dla przyszłości UE*. I byłoby to wiele mówiące zdanie, gdyby nie tajemnicze słowo: strategiczne? Przyjrzyjmy się nieco dokładniej, co to znaczy?

Pod tajemniczym słowem strategiczne kryją się po prostu komplementarne interesy obu państw.

Francja ma obsesję antyamerykańską, co jest rodzajem kompensacyjnego odruchu warunkowego ciągle wirtualnego mocarstwa drugiej kategorii, które nadrabia miną, aby grać pierwsze skrzypce w europejskiej polityce. Z obsesjami – jak wiadomo – trudno dyskutować. Po prostu są.

W Niemczech – z kolei – stoi dalej amerykańska armia, co doskwiera niemieckiej dumie narodowej, tym bardziej że akurat to państwo jest realnym mocarstwem gospodarczym. W przeciwieństwie do ekstrawertycznych form francuskiej obsesji, niemieckie urazy mają charakter introwertyczny, są głęboko skrywane.

To co łączy oba państwa – to kompleks niedowartościowania. Niemcy więc chętnie łączą się z Francją licząc na antyamerykańską obsesję politycznego Paryża, bo w tym partnerstwie upatrują możliwość powolnej emancypacji spod wpływów amerykańskich. Wyrazem tych intencji jest np. pomysł zbudowania sił zbrojnych Unii Europejskiej, głównie przez tzw. rdzeń Europy, choć oba państwa istnieją w sprawdzonej strukturze obronnej NATO.

Trójkąt weimarski dopóki był bezprzedmiotową grą towarzyską polityków, istniał jako zestaw salonowych ukłonów obliczony na usypianie polskiej klasy politycznej, która mogła czuć się dowartościowana. Tym bardziej że pod względem gospodarczym – planowo, dalej wyzbywano się najważniejszych polskich autów gospodarczych.

Problem pojawił się kiedy doszło do konkretów politycznych, a mianowicie, kiedy Polska na serio postawiła na wspieranie Ukrainy, w próbie jej adaptacji do systemu Zachodniego, zgodnie zresztą z retoryką wygłaszaną z Brukseli od lat, że Europa nie kończy się na Bugu.

Dopóki sprawa miała tylko wymiar retoryczny – nie było problemów, ale kiedy przyszło do konkretów trójkąt weimarski zaczyna się zamieniać w trójkąt bermudzki.

Jeśli Ukraina na serio miałaby zbliżyć się do Zachodu – to warunkiem wstępnym jest sprawa granicy z Rosją. To jednak nie leży w interesie Rosji, która liczy na wchłonięcie Ukrainy. Dla realizacji tego granicznego warunku wstępnego potrzebne byłyby naciski wobec Rosji. A na to państwo można naciskać jedynie argumentami ekonomicznymi, których dysponentem są tak naprawdę tylko Niemcy. Ale Niemcy wiedząc o strategicznym znaczeniu

Ukrainy w polityce amerykańskiej wobec Rosji nie mają interesu w tworzeniu takich nacisków, na rzecz polityki amerykańskiej, bo sami grają wspólnie z Francją na rzecz emancypacji spod protektoratu amerykańskiego. Natomiast Rosja (jako rywal USA w globalnej polityce) w tej grze może być wygodnym, choć cichym partnerem Niemiec.

To mniej więcej tyle, co może znaczyć w tym kontekście francusko-niemieckie partnerstwo strategiczne.

Gra na zwłokę w przyjęciu Polski i innych krajów środkowoeuropejskich do Unii ma więc głębsze powody, aniżeli dopłaty do polskiego kartofla. Widać to na przykładzie polityki obronnej, gdzie Polska, Czechy i Węgry już nie są kandydatami w poczekalni, lecz członkami tego samego ugrupowania co m.in. Francja i Niemcy. Wspomniany Hubert Vedrine – tak oficjalnie powiedział w Warszawie w przeddzień francuskiej prezydencji UE:

Znakomicie rozumiem, że członkowie NATO, którzy starają się o wejście do UE, chcą wiedzieć, co Europejczycy planują w kwestiach obronności. Nie dziwię się, że nie chcieliby dowiedzieć się tego z gazet. Dla nas jednak rozwinięcie tożsamości obronnej jest szalenie ważne. Bronię prawa Piętnastki do autonomii w tej dziedzinie. Jesteśmy gotowi na konsultacje z członkami NATO, ale decyzje podejmą członkowie Unii.

To już brzmi całkiem wyraźnie. Intencje są czytelne i jasne. W kwestii UE – Vedrine zasłania się pretekstami dostosowawczymi, w polityce obronnej – takich pretekstów już nie ma. O co więc chodzi naprawdę?

Odkryta twarz wiarołomcy?

Podczas konfliktu w Kosowie UE wykazała się nie tylko wojskową, ale przede wszystkim polityczną nieporadnością i gdyby nie determinacja USA i energiczna akcja NATO – skończyłoby się to wielką kompromitacją, a może nawet, w konsekwencji, poważnym kryzysem paktu obronnego. Po tym doświadczeniu francusko-niemiecki „rdzeń Europy”, postanowił z własnej indolencji zrobić polityczny pożytek i ustanowić własny mini-pakcik wojskowy, tak niby w strukturach NATO, ale też i osobno, pokazując Ameryce, że my też możemy... bo nas na to stać!

Amerykanie patrzyli z pobłażaniem na to prężenie mięśni francusko-niemieckiego „rdzenia Europy”, zapewne zdając sobie sprawę z zagrożeń dla spójności NATO i pełną hipokryzji politykę wobec krajów kandydackich ze środkowej Europy. Polska dyplomacja delikatnie napomynała o rysującej się analogii do gwarancji bezpieczeństwa z 1939 roku. Węgrzy na to odpowiedzieli możliwością wstrzymania reform. Na to „rdzeń Europy” z właściwym sobie przytupem zagroził opóźnieniami w przyjęciu naszych krajów do UE. Zastrzeżenia Polski i Węgier zostały więc zignorowane: niech petenci wiedza kto tu rządzi, a co!

Odpowiedź amerykańska była dyskretna, by nie rzec elegancka. Na próbę francusko-niemieckiej odrębności militarnej, w zamierzeniu: bez krajów środkowoeuropejskich, choć przecie już członków NATO – Amerykanie odpowiedzieli koncepcją rozbudowy systemu antyrakietowego. Ma on obejmować już nie tylko dwa duże miasta, ale cały kraj. Oznacza to, że Ameryka obroni się sama, a UE, jeśli dąży do militarnej samodzielności, a przy okazji także i rozluźnienia struktur NATO – niech się broni sama.

Putin – nowy prezydent Rosji, początkowo zgłosił akces do amerykańskiego pomysłu, ale po pewnym czasie zmodyfikował swoją propozycję, obiecując parasol ochronny również nad Europą Zachodnią. Chcecie odrębności? No to ja macie – skurabrie w tomacie! – jakby powiedział nieoceniony Konstanty Ildefons Gałczyński.

Mocarstwo ekonomiczne (Niemcy) pod rękę z mocarstwem wirtualnym (Francja) bez amerykańskiego parasola obronnego, ale za to z potencjalnym parasolem rosyjskim mają nad czym pomyśleć w wolnych chwilach od kompensacyjnych odruchów politycznych. Może więc dlatego Vedrine w takim stylu poinformował nas o perspektywach integracji, bo...

francusko-niemieckie kompleksy niższości wobec USA, można sobie odreagować wobec krajów Środkowej Europy w tym Polski, jako że nie ma nic przyjemniejszego aniżeli przedłużanie przyjemności. Tym bardziej, że nasza dyplomacja dalej molestuje ...o datę przyjęcia, więc „rdzeń Europy” robi uniki, z przyjemnością patrząc na ciżbę petentów mnących czapki w przedpokojach, pokornie czekających na pańskie skinienie do pałacu Europy porwanej przez nie tyle byka, ile mustanga amerykańskiej technologii.

Prezydent Clinton podczas pożegnalnej wizyty przed upływem kadencji, bawiąc w Europie wspaniałomyślnie zapewnił że jednak nie pozostawi Europy Zachodniej i podzieli się swoimi możliwościami obronnymi. Ten wspaniałomyślny gest wobec „rdzenia Europy” stał się szansą powrotu, dla tych którzy mieli ochotę wyjść spod rynny na deszcz ze swoim pomysłem separatyzmu obronnego, kosztem Europy Środkowej.

Z tego testu intencji francusko-niemieckiego „rdzenia Europy” Polska i Środkowa Europa powinny wyciągnąć inteligentne wnioski.

Dwuznaczność plagiatów politycznych

Prezydent Clinton w czasie wspomnianej wizyty, w połowie roku 2000 zapytał wprost: czy Europę czeka taka koncepcja polityczna gdzie każda gmina będzie mieć swój sztandar i monetę, czy też może ten proces zostanie sprowadzony do rozsądnych granic?

Zanim Clinton postawił to pytanie – Joschka Fischer, jeden z radykalnych przywódców „Zielonych” w ruchu kontrkultury, teraz jako minister niemieckiego rządu przedstawił koncepcję Federacji Europy, co jest zmianą koncepcji wobec dotychczas lansowanej Europy Regionów.

Jeśli federacja państw jest nadzieją integracji europejskiej – to należałoby z wielką ostrożnością podchodzić do lekceważenia struktur państwowych, a nawet z pewną nieufnością wobec tych idei politycznych, które lansują ponoć anachroniczność państwa w epoce globalizacji.

Rozbudzone separatyzmy, brak siły porządkującej, jak to dobitnie wykazała lekcja sprawności Unii Europejskiej w Kosowie – to jest zaproszenie do chaosu. A nowe mechanizmy sterowania emocjami społecznymi w postaci nowych silnych środków przekazu, które ze względu na kosztowność muszą być powiązane z kapitałem podpowiadają że teoretycznie istnieje także i możliwość chaosu sterowanego.

Powstaje więc zasadnicze pytanie: czy państwo pozbawione wielkiego kapitału, jakim jest np. Polska, powinno prowadzić politykę opartą na dominacji kapitału, czy też na rozwiązaniach strukturalnych i więzi budowanej innymi środkami aniżeli kapitałowe, np. poprzez kulturę lub silne struktury państwowe.

Kapitał, przy całej swej zdolności do tworzenia postępu cywilizacyjnego, jest jednak formacją nieodpowiedzialną, nie z powodu jakichś złych intencji, lecz z powodów strukturalnych: realizuje swe cele tam, gdzie istnieje gwarancja sukcesu ekonomicznego, w postaci zysku. I o to nie można mieć pretensji, bo taka jest jego natura i taka struktura, nie bez pozytywnych aspektów.

Jeśli taka jest natura kapitału, włącznie z nieusuwalną nieodpowiedzialnością za sfery nie należące do zakresu jego możliwości – prostą konsekwencją musiałby być postulat oparcia procesów regulatywności społecznej na wzmocnionych strukturach państwa i jego supremacji wobec kapitału. Niekoniecznie z powodów ideologicznych, ale dlatego że to państwo ponosi odpowiedzialność za wszystkich obywateli, a kapitał, zwłaszcza międzynarodowy, tylko za wybraną część zaangażowaną w sferze jego interesów. Widać to przecież wyraźnie np. na falach przyływu i odpływu spekulacyjnego kapitału na słabszych giełdach, m.in. Środkowej Europy.

Te uwagi mają szczególne odniesienia do rzeczywistości krajów postkomunistycznych, gdzie silnej pozycji państwa utożsamianego z brakiem suwerenności przeciwstawiono alternatywę w postaci regionalizmu. Na szczęście w Polsce w rozwiązaniach prawnych reformy administracyjnej nie doszło do całkowitego rozbicia dzielnicowego, ale prawo bywa zmienne i podlega kształtującym się poglądom większości obywateli. A te przecież są kształtowane przez media, a media – to kapitał...

Polska, jak przystało na kraj środkowoeuropejski – patrzy z kompleksem niższości wobec Europy Zachodniej, podobnie jak np. Francja, wobec USA, z tą różnicą, że tam jest on przetwarzany na politykę buńczuczności, co jest tylko odmianą tego samego kompleksu niższości.

Z kolei na Wschód patrzymy ze stosownym odreagowaniem, zwłaszcza wobec Ukrainy czy Białorusi, kompensując sobie kompleksem wyższości wobec tych krajów doznawane upokorzenia z Zachodu, podobnie jak np. Niemcy ze swoimi powojennymi doświadczeniami w roli ucznia amerykańskiej demokracji robią to samo wobec Polaków.

Zanim Stany Zjednoczone zademonstrowały swoje możliwości obronne, UE proponując realizację swojego pakciku, bez udziału Polski i nowych członków NATO, była gotowa wystawić Polskę czy Węgry i inne kraje znów do roli zakładników. Na usprawiedliwienie tej hipokryzji, Francja dyskretnie dawała do zrozumienia, że Polska ze swym przywiązaniem do USA (a także i pewnym wpływem związanym z zorganizowaną prasą Polonii Amerykańskiej, co uwidoczniło się w naciskach na rząd amerykański przy okazji rozszerzania NATO) może być koniem trojańskim amerykańskich interesów wewnątrz UE. Vendrine zapewniał, że nie przypomina sobie takiego oświadczenia, ale – jak wiadomo – w dyplomacji ciekawsze bywają dementi od oświadczeń.

Iluzoryczność tego pokątnego zarzutu, czy raczej obawy jest oczywista, jeśli wziąć pod uwagę status Wielkiej Brytanii, która nie ukrywa ścisłych związków z USA, a jednak jest w strukturach obronnych NATO i gospodarczych UE, nie bez oporów zgadzając się na wyższy stopień unifikacji. Dlaczego więc cicho jest zupełnie o brytyjskim już nie koniu trojańskim ale wypróbowanym partnerze USA, a problem wirtualnego polskiego konia trojańskiego tak rzekomo niepokoi Francję? O co tu chodzi?

Chodzi więc tak naprawdę nie o realność tych obaw, lecz o postawienie Polski w pozycji tłumaczącego się, jako państwa ograniczonej wiarygodności; drugorzędnego z powodów zapóźnień cywilizacyjnych, upokorzonego w poczekalni do Unii Europejskiej, po to, aby przełamać nasze dążenia do podmiotowości wśród krajów zbliżonych do naszego potencjału, w konsekwencji dokonać instrumentalizacji Polski dla własnych celów politycznych.

Jak z tego widać, prawa człowieka, solidarność, itp. racje humanistyczne przegrywają z darwinizmem politycznym.

Taką lekcję już przerabialiśmy w naszej historii. Przypomnijmy ją sobie dla otrzeźwienia.

Rok 1659 – dwa ważne wydarzenia dla losów Polski.

W polityce europejskiej – podpisanie tzw. traktatu pirenejskiego.

W jego rezultacie na czoło polityki europejskiej wychodzi Francja. Jej głównym rywalem jest dwór habsburski. Na dworze francuskim zarysowano już koalicję z udziałem Turcji, Polski i Szwecji, przeciwko Austrii i jej sojusznikom.

W Polsce – to solidarność nie bez związku z zagrożeniami zewnętrznymi. Zwycięskie oddziały Czarnieckiego z rozpędu idą nawet na odsiecz Danii i w bitwie pod Nyborgiem zadają cios Szwedom. Na tej fali patriotycznego uniesienia i niebywałej solidarności wszystkich warstw społecznych król powraca do sformułowanego rok wcześniej pakietu czterech reform:

- ustanowienia praw podatkowych (akcyza, czopowe, cło generalne) jako podatki stałe, czyli według dzisiejszych pojęć stały budżet;

- ustanowienie Rady Nieustającej (senatorowie i przedstawiciele szlachty), czyli forma rządu;

- ustanowienie zasady podejmowania decyzji w sejmie większością głosów (remedium na precedensowe *liberum veto* zgłoszone siedem lat wcześniej przez posła Sicińskiego);
- przyjęcie tzw. ugody hadziackiej, która zakłada powstanie Księstwa Ruskiego z połączenia trzech kresowych województw: kijowskiego, czemichowskiego i braclawskiego i nadanie temu księstwu analogicznych praw i urzędów, jak odbyło się to wcześniej na Litwie.

Rzeczpospolita Obojga Narodów miała się więc przekształcić – według tego projektu – w unię trzech narodów. Czyli ni mniej ni więcej jak tylko miniaturę dzisiejszej Unii Europejskiej.

Polityka – to ma się rozumieć rzecz męska, chyba że... pojawią się kobiety.

W tymże roku 1659 Maria Ludwika ma już 48 lat, od dziesięciu lat jest żoną Jana Kazimierza i współautorką polskiej polityki. Po śmierci małoletniego syna w poprzednim małżeństwie z Władysławem IV – topnieje nadzieja na narodziny potomka. Niepokój króla o ciągłość władzy powoli staje się jego obsesją. Wprowadzenie proponowanych reform król wiąże z zasadą *vivende rege*, oznaczającą wybór następcy tronu za życia władcy. Królewski strach przed zerwaniem ciągłości dynastii nakłada się na strach przed zbyt wielką siłą władzy ze strony rządzących. Ten podwójny strach spowoduje blokadę jakże potrzebnych i dalekosiężnych reform, które mogłyby w sposób zasadniczy odmienić historię Polski. Zaczyna się wyczuwać opór – solidarność czasu zagrożenia mija.

Za dwa lata ten zdesperowany monarcha – uważany zresztą za słabego króla w dziejach Polski – rzuci profetyczne zdanie świadczące o niezwykłej wyobraźni politycznej: *Jeśli Rzeczpospolita nie unormuje sprawy następstwa i utrzyma bezkrólewie, to dojdzie do tego, że Litwę i Ruś zagarnie Rosja, a Polską podzieli się Brandenburgia i Austria.*

Jak dziś doskonale wiemy – przewidywanie to wyrażone sto lat przed rozbiorem – niestety spełniło się. Warto jednak przypomnieć w jakich okolicznościach i z jakich powodów.

W tym czasie u boku królewskiej małżonki – Marii Ludwiki wyróżnia się osiemnastoletnia dworka – Maria Kazimiera d'Arquien. Od dwu lat jest zamężna za Janem Zamoyskim (bratankiem wielkiego kanclerza), ale młodego małżonka bardziej podnieca dzban z węgrzynem, niż młoda żona. Zanim Zamoyski zdążył pożegnać się z tym najlepszym ze światów (1665) profrancuskie stronnictwo na dworze rozpoczęło już intensywną pracę nad karierą wyróżniającego się dowódcy polowego, choć niczym nie wyróżniającego się polityka – Jana Sobieskiego. Gry i intrygi dworskie idą sprawnie, czasu nie warto tracić: w roku śmierci Zamoyskiego – Jan Sobieski poślubia młodą wdowę, i w tym samym roku 1665 jest już marszałkiem wielkim koronnym, rok później – hetmanem polnym, w dwa lata później będzie już hetmanem wielkim koronnym i staje się potencjalnie poważną figurą na szachownicy ustawionej w traktacie pirenejskim.

Kariera błyskawiczna, niepisany kontrakt niebawem też zostanie precyzyjnie sformułowany: berło królewskie dla ambitnego hetmana, za cenę treści politycznych zawartych, w odpowiednim czasie, w traktacie jaworowskim (z 11 czerwca 1675): 200 tysięcy talarów rocznie od Ludwika XIV na prowadzenie wojny z Brandenburgią, ponadto obietnica 400 tysięcy talarów na wojnę z Austrią, no i upominek dla rodziny w postaci Prus Książęcych. Wojna za francuskie pieniądze i ten upominek dla rodziny...

Riposta nadchodzi błyskawicznie, w postaci tajnego traktatu pomiędzy Wiedniem i Moskwą przeciw ograniczeniu „polskich wolności”, (czyli za pomyslnym rozwojem *liberum veto*), co można śmiało uznać za prototyp umowy rozbiorowej.

Wpływy Marysienki ciągle nie zadowolają dworu francuskiego. Jan III Sobieski okazuje się niezbyt sprawnym narzędziem polityki francuskiej. Kielkuje myśl o bezpośrednim obsadzeniu tronu polskiego francuskim kandydatem. Nieoczekiwany spisek Wiśniowieckiego (1678) zmierzający do obalenia Jana III (na rzecz wprowadzenia na tron Karola Lotaryńskiego) na tyle wstrząśnie Janem III Sobieskim, że ten nie tylko zachwieje się w swoich dotychczasowych przekonaniach, ale zrezygnuje z polityki profrancuskiej.

To zawahanie polskiego króla pod wpływem niepohamowanej chęci dominacji francuskiej na dworze polskim, przy równoczesnym braku zdefiniowanych celów polityki polskiej – doprowadzi do nawiązania zerwanych wcześniej związków z Austrią.

Zaczyna się dyskretnie spełniać ponure, choć trafne przewidywanie sformułowane (ponoć przez nieudanego króla Jana Kazimierza), a realizacja przypada królowi, którym szcycimy się do dziś, a nawet niektórzy uważają, że był on ostatnim królem niepodległej Rzeczypospolitej (bo pod Wiedniem osłonił przyszłego zaborcę Polski przed Turkami!).

Do powstania idei Rzeczypospolitej Trojga Narodów, czyli – według dzisiejszych standardów miniatury Unii Europejskiej – nie doszło z wiadomych powodów. Jednak fakt sformułowania politycznego projektu owej miniatury Unii Środkowoeuropejskiej, z całościową koncepcją jej funkcjonowania, nie powstał w kulturowej próżni. Nie było zapewne przypadkiem to, że te doniosłe projekty powstały już w świadomości drugiego pokolenia po zakończeniu historycznej syntezy kultur Zachodu i Wschodu na ziemiach I Rzeczypospolitej, tj. w okresie ok. 1580–1630.

Czy mamy alternatywę?

Jeśli racje humanistyczne doraźnie przegrywają z darwinizmem politycznym – to powstaje zasadnicze pytanie: czy w naszej strategii integracji powinniśmy zrezygnować z humanistycznych ideałów, czy przeciwnie? Czy to jest w ogóle jakaś alternatywa?

Wydaje się że trzeba umieć posługiwać się jednym i drugim.

W sprawach gospodarczych trzeba przyjąć kryteria darwinizmu, bo tu humanizm jest traktowany jako naiwność. Natomiast w perspektywie długiego trwania – nie tylko nie można zrezygnować z ideałów humanistycznych, ale trzeba z nich zrobić dojrzały argument daleko-siężnych celów wspólnej Europy, ponad kompensacyjnymi odruchami sadomasochistycznymi, które – jak to dość dawno już uzasadniał Fromm prowadzą jedynie do tworzenia klimatu społecznego dla totalitaryzmu.

Jakiego? Totalitaryzm komunistyczny – jak się wydaje utracił ostatecznie swoją atrakcyjność i skompromitował się ostatecznie. Natomiast nie jest pewne czy brunatny totalitaryzm nie ma ciągle żywotnych korzeni. Wybryki neonazistów niemieckich tłumaczy się powierzchownie obecnością obcych, np. Turków. Ale już Haiderowskie ugrupowanie w Austrii nie jest wybrykiem sfrustrowanych młokosów, ale sprawną partią, która zdobywa władzę według reguł demokratycznych, zupełnie jak ongiś hitlerowskie ugrupowanie w Niemczech. Wprawdzie dziś Europa zareagowała inaczej, zdecydowanie, ale to jest tylko reakcja wobec symptomów, a nie przyczyn choroby, na szczęście wykluwającej się bez tła kryzysu ekonomicznego. Gdyby były takie okoliczności – gesty izolacji wobec Austrii z pewnością nie miałyby żadnej skuteczności.

Przyczyn tego stanu upatruje się w zagrożeniach zdobyczy socjalnych wobec potencjalnego napływu „obcych” w procesie integracji europejskiej. Ale nie widać głębszych dyskusji, np. nad tym czy promocja kultur lokalnych, zainaugurowana w roku '68 na początku jako wartość humanistyczna, w procesie pauperyzacji nie przekształciła się w regionalny szowinizm i ksenofobię, w eskalację niechęci wobec „obcych”, w zdegradowaną mistykę prowadząc do swego zaprzeczenia czyli – neofaszyzmu?

A to jest już problem uwarunkowań kulturowych zjawiska politycznego, a nie tylko spraw ekonomiczno-społecznych, które tak skutecznie przemawiają do wyobraźni polityków.

A zatem – argumenty humanistyczne już na poziomie potencjalnych zagrożeń mają podstawowe znaczenie. Inna sprawa że nie są ani wykorzystywane, ani przedstawiane w sugestywnej formie, jako ważne wydarzenie w życiu społecznym.

A teraz drugi argument wspomnianej pozornej alternatywy: ze sfery darwinizmu politycznego, czyli atuty gospodarcze. Tu liczy się skuteczność mierzona nie utopią, lecz stopniem zagrożenia własnych interesów, lub dominacji nad cudzymi.

Czy biedne kraje Europy Środkowej mają jakieś atuty do takiej rozgrywki, która byłaby w stanie przeciwstawić się arogancji „rdzenia Europy”?

Moim zdaniem tak.

Otóż na początku lat 90. prywatyzowano w Polsce m.in. przemysł samochodowy i wystawiono na sprzedaż FSO za śmieszne pieniądze. Zachodnie firmy podchodziły do tego jak do wiosennej wyprzedaży po niemożliwym systemie.

I wtedy do gry wszedł koreański „tygrysek” – Daewoo. Potem powstały „specjalne strefy ekonomiczne”, gdzie ulokowały swoje inwestycje, wprawdzie śladowe, ale jednak już nieco większe „azjatyckie tygrysy”.

Ci sami którzy jeszcze niedawno nie chcieli wyłożyć śmiesznych pieniędzy na FSO, wyłożyli poważne pieniądze na budowę fabryki Opla w Gliwicach, a po kątach dyplomatycznych zaczęli szemrać o niezgodności owych stref z interesami UE. I w ogóle – co to znaczy ten napływ Azji do kraju starającego się o wejście do UE!

Aluzja została dobrze zrozumiana przez „rdzeń Europy”. Dlaczego jednak mamy rozmawiać przy pomocy aluzji, a nie postawić sprawę otwarcie: Europa Środkowa ma też swoje atuty i alternatywną możliwość wobec uczestnictwa w Unii Europejskiej. Głównie z dziedziny geografii ekonomicznej, jeśli taka istnieje, a jeśli nie – to powinna powstać. Oczywiście taka możliwość jest ryzykowna i dla „rdzenia Europy” i dla naszego regionu. Ale jeśli dochodzi do takiej arogancji wobec nas jakiej ostatnio doświadczamy – może warto przemyśleć tę alternatywę, mimo ryzyka.

„Rdzeń Europy” dobrze rozumie, że jego stabilność, w dłuższej perspektywie trwania, oparta jest na komplementarności układu gospodarczego UE – Rosja. Zachód dysponuje kapitałem i technologią a Rosja chłonnym rynkiem i surowcami. To jest układ spójny i polityka Zachodu wobec Rosji w ostatecznym rozrachunku sprowadza się do podtrzymania takiego status quo.

Środkowoeuropejska alternatywa wobec UE polega na tym, że możliwe jest stworzenie preferencyjnych warunków dla inwestycji „azjatyckich tygrysów” gospodarczych, nawet na specjalnych warunkach kosztem doraźnych własnych interesów. I wtedy rolę UE wobec Rosji może przejąć właśnie ta technologicznie i kapitałowo rozwinięta Azja działając z terenu Europy Środkowej. Może z tego miejsca korzystać z rosyjskich surowców i energii i nie najdroższej polskiej, czy węgierskiej siły roboczej dla swojej produkcji. Może też sprzedać Rosji część technologii, a przede wszystkim wejść na ten rynek z terenu Europy Środkowej.

W takim wariantcie „rdzeń Europy” może mieć z jednej strony swoje kompleksy – i konkurencję! – ze strony USA, a z drugiej: środkowo-europejską filię azjatyckich tygrysów gospodarczych, zdolną do skutecznej konkurencji na rynku rosyjskim. Ta gra w dwa ognie może być dla „rdzenia Europy” bardziej wyczerpująca, od groszowych dopłat do polskiego rolnictwa, czy potencjalnej inwazji środkowo-europejskich sprzątaczek na biurowce UE, czym dziś straszy się niedoinformowane społeczeństwa Zachodu.

I to jest – w moim przekonaniu – właściwa odpowiedź w języku dobrze zrozumiałym dla bankierów, znacznie bardziej przekonującym dla świata darwinizmu, od humanistycznych gestów w stylu węgierskim, czy polsko-francuskiej napoleońskiej tradycji, odwołań do solidarnościowych ideałów, czy zasług w rozmontowywaniu systemu sowieckiej dominacji, w tym także z korzyścią dla zjednoczenia Niemiec.

Polska potrafiła powstać z kolan i wyprostować się w warunkach komunistycznej opresji, czas więc może na ten sam gest w znacznie łatwiejszych warunkach wolności politycznej, mimo usidlenia syndromem sadomasochistycznego odreagowania po komunizmie, bezlitośnie wykorzystywanym przez urojonych przyjaciół, posługujących się metodami darwinizmu politycznego.

Czy oznacza to zerwanie starań o wejście do Unii Europejskiej? Nie. To oznacza: robić swoje! Robić swoje; czyli dalej umacniać państwo, przyjmować europejskie standardy prawne, stabilizować rynek, wyzbyć się naiwności i plagiatowych pomysłów, które służą nie naszym środkom oddziaływania (brak kapitału a regionalizacja), entuzjastów niewidzialnej ręki rynku wysłać do uzdrawiania gospodarki na Saharze. A przede wszystkim powstać z kolan i przedstawić naszą alternatywę „rdzeniowi Europy”, która dla obu stron może być niekorzystna, ale skoro mamy do wyboru: instrumentalizację poprzedzoną upokorzeniem albo ryzyko?

VI. POSTMODERNIZM CZY ODPOWIEDZIALNOŚĆ?

Słowo „pomiędzy” jest wieloznaczne nie tylko słownikowo, ale przede wszystkim – najogólniej mówiąc – w swej zawartości sensu humanistycznego, wykorzystywanego w polityce. Coś innego znaczyło np. w myśleniu Witolda Gombrowicza, coś innego w refleksji Józefa Tischnera, coś innego znaczy w eseistyce Tadeusza Sławka.

W moim rozumieniu owo „pomiędzy” rozgrywa się pomiędzy stałym cechami jednostki ludzkiej a zmiennością cywilizacji. I nie zamierzam precyzować czy ową stałość będą wyznaczać aprioryczne formy poznawcze umysłu filozofa, archetypy psychologa, dusza człowieka religijnego lub biologiczna mapa genów. Unikanie konkretyzacji – to niekoniecznie skutek lenistwa umysłowego ale przede unikanie ideologizacji. Już jesteśmy na tyle dorosłymi dziećmi swojego XX wieku, że wiemy co potrafią zrobić gorliwi wyznawcy gotowych prawd. Darwin nie wiedział o swym nieślubnym potomstwie w postaci rasizmu; Nietzsche – o swych nadgorliwych, brunatnych wyznawcach; Marks o gułagach i stalinizmie. Ale ideolodzy kontrkultury pospiesznie anektowani przez postmodernizm –coś wiedzą o zbrodni w Johnstown i kilku jeszcze równie uroczych inicjatywach np. Frakcji Czerwonej Armii, a mimo to zachowują dalej tę swoją dziecięcą świeżość w podejściu do polityki.

To moje „pomiędzy” celowo sprowadza się więc tylko do podstawowej antynomii pomiędzy kategorią metafizyczną osoby ludzkiej a anonimowymi procesami cywilizacji, która łącząc scjentyzm z pragmatyzmem tworzy technologię, a ta ostatecznie – anonimowe „twarde jądro” postępu.

Na niezmiennosc jednostki nakłada się więc zmienność cywilizacji napędzana postępem technologicznym. To wywołuje efekt relatywnej powtarzalności stylów, co szerzej przedstawiłem w teorii ewolucji przemian artystycznych (Transfiguracja, 1993). Tu jednak nie o sztukę chodzi, lecz o podobne procesy w życiu społecznym. Na przykład skala empire'u z czasów napoleońskich była taka jak środki przekazu świty napoleońskiej pod piramidami i cywilizacyjna świadomość raczej niewiele wykraczająca poza zasięg śródziemnomorski. Ale ten proces miał swoje rozszerzające mutacje w innej skali zarówno monumentalizmie faszystowskim czy socrealizmie czasów stalinowskich. Dziś fascynujemy się globalizmem, jako rezultatem komunikacyjnym oddziaływania technologii w jeszcze większej skali: już nie śródziemnomorskiej, czy kontynentalnej – ale kuli ziemskiej.

Globalizm napoleoński kierował się scjentyzmem odkryć dawnych cywilizacji, oraz ideą państwa wyprowadzonego z absolutyzmów powstających już na początku XVII wieku a utrwalonych w czasach oświecenia.

Silne państwo wymagało wyrzeczenia się części wolności przez rządzących na rzecz rządzących. Silne państwo dawało gwarancję bezpieczeństwa poddanym, ale też i pozbawiało ich wpływu na kontrolę rządzących. Czynniki woluntarystyczne rządzących pozwalały na wypowiedanie wojen, czasem pod byle pretekstem, np. dla zaspokojenia ambicji dynastycznych, lub dla opanowania trudnych momentów społecznych. Wojny napoleońskie – dla przykładu były także środkiem dyscyplinującym po wielkim chaosie Rewolucji Francuskiej, czy też wojny imperium rosyjskiego wypowiedane dla przewyciężenia kryzysów wewnętrznych państwa.

Globalizm XIX wieku miał do dyspozycji silne państwo jako podstawowy instrument i motywację w postaci zagrożenia ze strony „obcych”. To plemienne pojęcie z czasem ucywilizowało się w postaci ideologii, które stawały się motywacjami zbrodni, czego okrutną puentą była II wojna światowa. Dwa totalitaryzmy, w swej istocie pod wieloma względami podobne, starły się pod koniec tej wojny, mimo odmiennych motywacji ideologicznych na początku. Rezultat był ten – zbrodnia na skalę przemysłową, choć w odmiennych formach.

Leczenie ran po drugiej wojnie światowej, która tak naprawdę zakończyła się w roku 1989 miało kilka faz. Na początek był to rodzaj lewatywy demokratycznej stosowanej głównie przez Amerykanów wobec pokonanych Niemców. Niemcy znali demokrację, nie było to więc dla nich nic nowego. Nowe wracało przy pomocy kija wojsk amerykańskich wspomaganych, nie bez marchewki w postaci planu Marschalla.

Drugi totalitaryzm zadławił się własną sprzecznością wewnętrzną. A mianowicie ze spójności woluntaryzmu i pragmatyzmu uczynił antynomię: odrzucił pragmatyzm absolutyzując woluntaryzm przyobleczony w formę ideologii komunistycznej z celami globalistycznymi (teza o wyższości komunizmu który opanuje cały świat). Po implozji w roku 1990 – próbuje leczyć się środkami demokratycznymi, czyli jest to faza lecznica niemieckiego totalitaryzmu z lat powojennych. W moim przekonaniu jest to leczenie rumiankiem: miło pachnie, doraźnie uśmierza ból, ale bez skutecznych rezultatów. Głębsza przyczyna tkwi w wielowiekowym doświadczeniu kulturowym bizantynizmu i skutkach politycznej tatarskiej Rosji.

Wiek dwudziesty skończył się dwiema ważnymi dominantami: ideologiczną i cywilizacyjną. Z pozycji jego zbrodniczych skutków postanowiono rozliczyć się z XIX wiecznym scjentyzmem i silnym państwem w postaci obwieszczenia postmodernizmu.

Postmodernizm niczego nie zaoferował w sensie nowych idei, poza szcątkowymi pomysłami kontrkultury z lat 60. Natomiast pod względem organizacji społeczeństw wydano wojnę państwowości. Rozumowanie było prawie szkolne: skoro przyczyną tak wielu nieszczęść były silne państwa – co należy zrobić? Proste: zdemontować je! Oczywiście nie chodzi o rewolucje. Lekcje rewolucji poczynawszy od francuskiej na bolszewickiej kończąc były mało zachęcającymi przykładami. Tym razem demontaż państwa postanowiono zrestrukturyzować, czyli stworzyć struktury poniżej i powyżej państwa. I w ten prosty sposób je unicestwić jako smoka, który pożarł tyle ofiar XIX wieku. Unia Europejska jako próba stworzenia struktury ponadpaństwowej, z jednoczesnym dowartościowaniem struktur regionalnych (poniżej państwowych), jak dotychczas istnieje głównie w sferze mitu. I jeśli mierzyć wartość tej idei jedynym jej konkretem w postaci wspólnego pieniądza – to giełdy notują jego tendencje spadkowe w konkurencji zarówno z amerykańskim dolarem, jak i samurajskim jenem.

Mit jednak bywa ponętny, zwłaszcza dla neofitów. Pewnie nie przypadkiem postmodernizm stał się intelektualną modą w kraju takim jak Polska, gdzie ostatnie furmanki zjechały z drogi polnej za życia tego samego pokolenia; którego co bardziej praktyczni przedstawiciele porzuciwszy *Notatnik agitatora* zabrali się do agitowania za postmodernizmem.

Minimalizacja znaczenia państwa weszła także w sferę stosunków międzynarodowych i nieuchronnych w takim przypadku konfliktów. Wynalazkiem końca tego wieku, pod tym względem jest supremacja praw człowieka nad interesem państwa. Tradycyjnie przeciwczono ten wariant w południowej części Europy Środkowej. Wojna na Bałkanach przecież została przeprowadzona w imię praw człowieka. Wprawdzie zgwałcono wiele kobiet, tysiące dzieci jeszcze utraci wiele rąk i nóg bawiąc się na zaminowanych polach, ale to wszystko odbywało się przecież w imię praw człowieka.

Czynnik pragmatyczno-woluntarny obecnej cywilizacji globalnej już nie sprowadza się do wojny o piękną Helenę, czy Kleopatę lub urażone ambicje władcy, czy kwestie terytorialne. Teraz imperium nie materializuje się w postaci terytorium lecz kabli i łączy satelitarnych. Akty woluntarne być może wyznacza ten sam popęd, ambicja lub poczucie strachu, lecz gra odbywa się z niewiarygodną szybkością i łatwym transferem wartości kapitałowych na mentalne i polityczne. Odwieczne dążenie do dominacji nie wyznacza już tupot żołnierskich butów lecz delikatny rytm klawiatury komputera. Nie potrzeba osobistego męstwa na polu bitwy – CNN poinformuje jak się sprawy mają w Zatoce Perskiej czy na Bałkanach. Zorganizowane morderstwo nie jest odrażające, krew nie ścieka po toporach lecz staje się tylko błyskiem na ekranie monitora. Ostateczny rezultat wojny – to wynik meczu komputerów sprzężonych z urządzeniami do zabijania.

Druga dominanta kończącego się XX wieku – technologia nie jest wcale czymś mitycznym, w porównaniu do mitu Unii Europejskiej, werbalnie restytuującej plemienną regionalną, opakowana w troskę o tożsamość kultur lokalnych, podpartą naiwną alternatywą kontrkultury, która w tym widziała przeciwwagę dla wszechwładnych systemów, lecz konkretem o dalekosiężnych konsekwencjach, na ogół słabo wyobraźalnych.

Twardy rdzeń cywilizacji czyli technologia komunikacyjna (obok biologii) dokonała znaczącego postępu pod koniec tego stulecia. Od globalnej wioski McLuhana po czterdziestu latach odpadła rustykalno-hipisowska część metafory, pozostał tylko technokratyczny, zimny – globalizm, sfunkcjonalizowany na błyskawiczne operacje kapitałowe (giełdy), obieg informacji (internet), oddziaływania polityczne poprzez zdegradowane formy kultury (telewizja).

Te nowe techniki pozwalały na kumulację kapitału nie tylko generowanego z samego przemysłu informatycznego, ale z samej możliwości niewyobraźalnie szybkiej jego cyrkulacji. Giełdy średnich i małych państw praktycznie są uzależnione od kaprysu dysponentów tegoż elektronicznego kapitału. W ciągu kilku dni możliwe jest wywołanie zarówno hossy jak i doprowadzenie do kryzysu finansowego państwa średniej wielkości. Oczywiście politycy takich małych państw jak Polska zdają sobie z tego sprawę, dlatego zabiegają o każdy drobny plusik ratingowy międzynarodowych audytorów, którzy przecież nie pochodzą z Marsa, lecz z tego samego układu interesów. Opinia o gospodarce danego kraju ma więc wymiar stabilizacji społecznej, co oznacza także i utrzymanie władzy przez aktualny rząd.

Taki jest styl sprawowania władzy i środków dominacji w świecie globalizmu, jest pośrednim przełożeniem technologii na politykę. Dlatego trzeźwość i refleks jest na wagę nie tyle złota, ile wolności. Definicję McLuhana: *środek przekazu sam jest przekazem* – w połowie wieku odnoszono do kultury. Pod koniec stulecia ma sens już polityczny.

Rozwoju technologii zatrzymać nie można, ale można uświadomić sobie jej funkcje i korelacje z innymi dziedzinami we współczesnym świecie.

Jeśli globalizm służący koncentracji sił technokratyzmu, a postmodernizm jako ideologia tworzona przez humanistów (bo jest to w końcu forma ideologii) służy rozprasaniu, a oba te zjawiska są razem opakowywane do sprzedaży wysyłkowej jako markowy towar XXI wieku – to powstają pytania: o losy demokracji i miejsce kultury w nadchodzącym czasie?

Strategia kultury musi więc czy tego chce, czy też nie, prowadzić dyskurs na przecięciu tych dwu sfer rzeczywistości, bo w systemie demokratycznym polityka wprawdzie kształtuje warunki życia społecznego, ale świat polityki pochodzi z wyborów obywatelskich, a postawy obywatelskie są w jakimś stopniu kształtowane przez mitologie i mody intelektualne, zwłaszcza jeśli zainwestuje się w ich popularyzację odpowiedni kapitał zamieniony w odpowiednio sugestywne środki przekazu. A kapitał ze swej natury na ogół miewa swoje interesy, nie tylko doraźne, ale i długofalowe. I tu pojawia się możliwość manipulacji, także i za pomocą mód intelektualnych.

W moim przekonaniu mamy dziś taki przypadek, kiedy po raz drugi zdobytą niepodległość rozmienniamy na nowe uzależnienie – nie bez udziału poważnej części środowisk intelektualnych i artystycznych.

Dzieje się to zarówno przy pomocy aktywistów postmodernizmu, jak i przez bierność tych autorytetów moralnych, którym nie zabrakło odwagi do czynnego sprzeciwu wobec PRL-u, ale dziś brakuje odwagi powiedzieć jasno, że od intelektualnego rozbioru Polski do ponownego zniewolenia, oczywiście za pomocą innego zestawu narzędzi i metod – dzieli nas tylko dystans czasu.

Być może trudność diagnozy tej sytuacji wynika z faktu, że nie jest zagrożona w Polsce demokracja, ani wolny rynek, ale właśnie niezależność. Umieliśmy się *wybić na niepodległość* w sposób oryginalny za pomocą bezkrwawej rewolucji, ale nie umieliśmy zachować podstaw niezależności, zarówno w sferze materialnej (infantylnie koncepcje ekonomiczne handlujące wyłącznie rynkiem zbytu i tanią siłą roboczą), jak i duchowej (odreagowanie na

syndrom apostaty neoficką admiracją postmodernizmu, który w tych konkretnych realiach pełni destrukcyjną funkcję polityczną, na rzecz utraty podmiotowości).

Zainwestowane poważne środki w popularyzację postmodernizmu, (gazety, fundacje, stowarzyszenia, mechanizm ułatwionych karier akademickich itd.) niezależnie od powodów psychospołecznych (modne jest zawsze „lepsze”, bo nowe!), zwłaszcza w kraju coraz bardziej peryferyjnym – stawiają coraz wyraźniej pytanie: postmodernizm czy odpowiedzialność?

Nie przypadkowo – jak myślę – postmodernizm został opakowany w formę mody. Moda jest irracjonalna. Ubieramy się tak a tak, bo to jest modne! Zamiast racjonalnego wyboru takim zachowaniem rządzi się.

Czy postmodernizm jest jeszcze modny?

Kwestia mody zawsze jest funkcją odległości od centrów. Na prowincji zwykle modne bywa to, co w centrum już przestało być modne. Kiedy w Krakowie „bruLion” wycofał się z roli ośrodka mody, postmodernizm rozwinął się w Katowicach („Opcje”, „Fa-Art”), Sejnach itp. centrach. Wolno się spodziewać, że niebawem zejdzie do gminy, bo już w powiatowych domach kultury – co nie jest żartem, jeśli ktoś zechciałby bliżej poznać realia – od lat prowadzona jest działalność różnych „ezoterycznych” szamanów, gotowych niepowodzenia wytłumaczyć korelacją gwiazd z datą urodzenia; a choroby przepędzić, wprawdzie już nie trzykrotnym spluwaniem i zaklęciami, ale możliwościami różnych odmian medycyny alternatywnej.

Ten folklor postmodernistyczny w Polsce końca wieku jest groteskowy poznawczo, ale nie jest groteskowy jako propaganda postawy. Sprowadźmy to do elementarnego rozumowania.

Otóż dzisiejszy postmodernizm w Polsce jest w istocie niezbyt rozgarniętym dzieckiem *pokolenia '68*. O kontrkulturze napisano wiele książek, zwłaszcza godne uwagi są te, które powstały przed postmodernistyczną aneksją tej formacji. Chodziło nam o proste sprawy: w Europie środkowej o wolność jednostki i niezależność od obcej dominacji i niechcianego ustroju. Nasi rówieśnicy na Zachodzie protestowali przeciwko wojnie wietnamskiej, juntom różnych pułkowników, przeciwko manipulacji na rzecz spłaszczenia ludzkich aspiracji do wymiaru mitu konsumpcyjnego, przeciwko hipokryzji. To pokolenie proponowało alternatywne utopie społeczne, *miłość zamiast wojny*, spontaniczność ekspresji ludzkiej osobowości zamiast *wyścigu szczurów* i przede wszystkim wolność jednostki.

Te wspaniałe utopie tylko bardzo ułamkowo mogły się zrealizować, np. w łagodnej transformacji frankistowskiej Hiszpanii w demokrację, w portugalskiej *rewolucji goździków* w 1974 roku, czy w polskiej *Solidarności* – sześć lat później.

Warto zauważyć, że pozytywne realizacje tych utopii miały miejsce na peryferiach Zachodniej Europy i tam, gdzie były względnie silne wpływy Kościoła katolickiego. Wygląda na to, że bardziej był sugestywny *Jesus Christ Superstar* od alternatywnych panteistycznych mutacji płynących z inspiracji Zen.

W czasie ideały kontrkultury jednak ulegały degradacji w trzech kierunkach: w narkomanii, terroryzm i nurt ekologiczny. Terroryzm opanowano środkami administracyjnymi. Narkomania pozostała jako plaga społeczna, ekologowie wpisali się w establishment, czego żywym dowodem jest obecny minister spraw zagranicznych RFN. Z tego rozpadu formacji kontrkultury młodsze pokolenie wyciągnęło wnioski w postaci mitologii punk, które ma spore zadatki, aby wykiełkować w jakiejś postaci neofaszyzmu.

To na poziomie popularnych ruchów społecznych i mitologii pokoleniowych.

Na poziomie filozoficznym – jak pisze Damian Leszczyński – sprawa sprowadza się do następującego *modelu uprawiania filozofii*: *hasło „końca filozofii”, nietzscheańska genealogia jako metoda filozoficzna, odrzucanie idei prawdy oraz wszelkich uniwersalnych punktów odniesienia*.

W stylu uprawiania tej filozofii dominuje kult paradoksu, żądanie złożoności jako synonimu wyrafinowania, nadwartościowanie marginalnego, itd.

Fundamentalnym przekonaniem tej formacji jest hipoteza o ciągłości *od oświeceniowych ideałów humanizmu do dwudziestowiecznych totalitaryzmów*. W ten sposób powstaje teza, że *podstawową cechą czasów nowożytnych staje się stopniowe, lecz bezwzględne umacnianie się Człowieka, Podmiotu jako „pana i władcy natury”*. I naturalną konsekwencją (...) całkowitej władzy człowieka nad przyrodą jest *ustrój totalitarny, w którym kontrola i nadzór sprawowane są nad ludźmi*. Skoro więc rozumuje się dalej – *humanizm de facto doprowadza do tego, co nieludzkie, to w takim razie najlepszym lekarstwem i bronią będzie antyhumanizm, który powstrzyma owo nieograniczone pragnienie dominacji*. (...) Płynie z tego prosty wniosek, że *humanizm i rozum (racjonalizm) są złe, a zatem należy rozpocząć z nimi walkę*. Stąd właśnie kolejne gromkie zapowiedzi „śmierci człowieka”, „końca filozofii” (historii, literatury, sztuki itd.), *sięganie po „dialektykę negatywną” czy też „nomadologię”, po to tylko, aby umknąć mitom, które samemu się stworzyło* („Odra”, 6,2000).

O jakie ucieczki chodzi?

Chodzi o praktyczną sprawdzalność dyżurnych pojęć-haseł, takich jak różnica, paradoks, mniejszość, inny itd., w konkretnych realiach demokracji.

Jeśli, w demokracji, traktuje się ludzi jako równych – to jak w praktyce można realizować prawo do różnorodności?

Jeśli inny – to nie taki sam, a zatem w odniesieniu do jakich kryteriów można praktycznie zweryfikować problem tożsamości?

Jeśli nadwartościujemy znaczenie mniejszości – to co jest większością?

Jeśli głosi się „śmierć człowieka” i równocześnie występuje w obronie praw człowieka – to czy nie ma w tym sprzeczności?

Jeśli system polityczno-prawny jest wytworem racjonalnym i ten racjonalizm neguje się jako wartość – to według jakich kryteriów może realizować się wolność?

Takich pytań jest więcej.

Wykazanie sprzeczności postmodernizmu byłoby logiczne, gdyby postmodernizm był sam w sobie logiczny. Ale ten kierunek ma więcej z mitu i mody aniżeli z doktryny. Pozostaje więc tylko zbadanie wiarygodności jego dwu podstawowych filarów: kwestii podmiotowości i znaczenia nieświadomości.

Dlaczego te dwie kwestie są ważne?

Postmodernizm zaatakował humanizm.

Klasyczna definicja humanizmu sprowadza się do ludzkiej zdolności do wolności (samostanowienia) i autorefleksji (samoświadomości).

Jeśli – zdaniem postmodernistów – istnieje ciągła linia od nowożytnego humanizmu do XX-wiecznych totalitaryzmów, to znaczy, że powinna być jednorodność Podmiotu. Takie badania przeprowadził francuski filozof Alain Renaut i okazało się, że ta podstawowa teza postmodernistów oparta jest na dwu wydumanych fikcjach. Nie ma czegoś takiego jak *tej samej postaci podmiotowości* w historii nowożytnej filozofii. Podobnie jak nie ma ciągłości linearnej.

Alain Renaut nie wykonał więc prostego zaprzeczenia poprzez cofnięcie, lecz wykazał, że jeden z filarów postmodernizmu jest mitem ulepionym z nieuctwa. I tylko tyle.

Pozostaje drugi filar – kwestia nieświadomości.

Tu oczywiście wchodzi w grę przede wszystkim psychologia głębi, przede wszystkim C. G. Junga, jako że Freud został już poważnie okrojony ze swych fantazji przez następne pokolenia psychologów. Zanim wrócimy do psychologii Junga warto zauważyć generalnie, że ten nurt psychologii, w czasie swej niedługiej historii wyraźnie ewoluuje w stronę uspołecznienia wielu też psychologii nieświadomości.

Powołując się na psychologię nieświadomości C.G. Junga – co jest symptomatyczne – pomija się milczeniem jego powinowactwa z kantyzmem, np. cztery formy poznawcze w psychologii C. G. Junga mają wiele wspólnego z apriorycznymi formami poznania Kanta. A Kant – to przecież oświeceniowy racjonalista!

Jak wykazała uczennica C. G. Junga – Jolanta Jacobi (*Psychologia C. G. Junga*, 1968) – koncepcja nieświadomości Junga wertykalnie jest warstwowa, tj. od nieświadomego do świadomości, ale horyzontalnie ma charakter rotacyjny obejmując swym ruchem wszystkie formy poznawcze: i te, które odnoszą się do sfery świadomości jak i te, które odnoszą się do racjonalnych form poznawczych.

Te skomplikowane korelacje – nie wchodząc w szczegóły – nie pozwalają na pewno na uznanie nieświadomości jako wyłączonej i izolowanej sfery od świadomości. A zatem drugi filar postmodernizmu wprawdzie nie jest oparty – jak w przypadku badań Renauta nad historią podmiotowości – na fikcji, lecz na półprawdzie. Nie w znaczeniu czegoś częściowo zafałszowanego, lecz w tym sensie, że nie jest tak jakoby nieświadomość była sterylnie krystalicznym bytem, lecz jest zjawiskiem mocno uwikłanym w zależności ze swym przeciwieństwem w dynamice życia psychicznego.

Ta właśnie skomplikowana dynamika powoduje, że nie sposób odrzucić zjawisko nurtu kontemplacyjnego w historii kultury, (co szerzej przedstawiłem w książce *Transfiguracja*), w tym także i ostatni okres tego nurtu zwany bez wyobraźni – postmodernizmem, który właśnie się kończy.

Nie jest to więc polemika ze zjawiskiem postmodernizmu, lecz z politycznymi manipulacjami, gdzie ten styl został użyty jako środek do realizacji celów dalekich zarówno od kultury, jak i tym bardziej bezinteresowności.

W tym sensie antynomia nie przebiega według podziału na postmodernistów i racjonalistów, lecz na wyborze pomiędzy postmodernistyczną mitologią a odpowiedzialnością.

Demokracja – to świadome strategie wyborów pragmatycznych, ale w podświadomości są przecież ufundowane na tożsamości kultury danego narodu ukształtowanego przez wieki. Bez korelacji tych dwu płaszczyzn: kulturowej i pragmatycznej w perspektywie długiego trwania nie można określić rozumnej strategii, czy wizji rozwojowej danego kraju, a tym bardziej w większej konfiguracji państw.

Ta konieczność określenia wizji i strategii długiego trwania stoi w sprzeczności z podstawową normą polityczną demokracji, jaką jest rotacja rządów i partii politycznych, zdeterminowana także ciągle zmiennymi konfiguracjami globalnych interesów. W interesie kolejnych partii sprawujących władzę w kolejnych kadencjach jest wylegitymowanie się sukcesami pragmatycznymi za ledwie w kilkuletnich okresach. A strategia – to problem perspektyw dziesięcioletnich lub dłuższych.

Ta sprzeczność jest wpisana strukturalnie w system demokratyczny i jej rozwiązanie, przynajmniej na płaszczyźnie ogólnej jest możliwe jedynie poprzez realny udział w rzeczywistości życia społecznego tych kręgów ludzi, którzy nie są uwikłani w bieżącą walkę o władzę, a równocześnie dysponują odpowiednią wiedzą aksjologiczną, odpowiednią perspektywą cykulacji wartości w historii, rozumieją istotę różnic pomiędzy poszczególnymi cywilizacjami i potrafią ogarnąć wynikające stąd konsekwencje.

Dlatego systemy totalitarne odsuwają świat kultury od polityki lub usiłują go na różne sposoby marginalizować, ponieważ tam decyzja dyktatora (lub rządzącej koterii) wyznacza arbitralnie strategie, bez tego podstawowego elementu, jakim są wybory w demokracji, w konsekwencji – konieczność korelacji wewnętrznych przekonań, wynikających z poczucia tożsamości kulturowej z wymogami natury pragmatycznej.

Rzecz charakterystyczna, że globalizm technokratyczny podobnie zachowuje się dziś wobec rzeczywistości kultury. Nie ma jeszcze przesłanek do wyprowadzania zasadnych analogii, ale jest już wystarczający powód, dla którego warto pomyśleć właśnie o strategii kultury.

Gustaw Herling-Grudziński na krótko przed śmiercią tak m.in. określił rolę współczesnego pisarza: *Powołaniem pisarza jest także śledzić zjawiska otaczającego świata i wylapywać to, co jest niebezpieczeństwem w życiu społecznym. A następnie pisać o tym otwarcie, nie pytając nikogo, czy to dobrze, czy źle. Nie zastanawiając się nad tym, czy to się podoba, czy nie podoba. Tak robili Orwell czy Camus: po prostu pisali, co myślą. Ten sposób postępowania odniósł skutek.*

